



JACEK STASIŃSKI

ŚWIAT NOSZĘ W SERCU



Świat noszę w sercu jest pierwszą książką z planowanej serii *Podróży z Jackiem*. To cykl promujący podróże oraz motywujący do poznawania świata z zachowaniem szacunku do odwiedzanych miejsc, napotykanych ludzi, tradycji i natury. Tom pierwszy zawiera 12 opowieści spisanych przez człowieka, dla którego świat stał się domem i osadzonych w niezwykłych lokacjach na mapie podróży po czterech kontynentach.

Odwiedzimy magiczne Timbaktu, oazę Siwa, staniemy oko w oko z goryłami górskimi. Dotrzemy na wyspy Galapagos, dopadnie nas burza w Kolumbii, będziemy ścigać tukana nad wodospadami Iguazú. Na Jamajce wyłowimy z wody „żywe srebro”. Czeką nas pełen humor thriller nad wodospadem Niagara i corrida z wołem piżmowym w grenlandzkiej tundrze. Poznamy niuanse współczesnej Persji, japońskie ciekawostki z onsenu pod Fuji, czeka nas kąpiel z rekinem w tle w Kamakurze. Przemierzmy bezdroża Pamiru i będziemy świadkami wzruszającego spotkania z Polką w miejscu, gdzie diabeł mówi dobranoc.


Sorus

PRZEJDŹ
do księgarni online:
www.sorus.pl

JACEK STASIŃSKI

**ŚWIAT NOSZĘ
W SERCU**


Sorus

Redaktor prowadzący

Michalina Wesołowska, Wojciech Nowakowski

Redakcja

Iwona Stachowicz

Projekt okładki

Joanna Bruch

Skład

Travel & Design Miron Kokosiński

Copyright © by Jacek Stasiński 2023

Copyright © by Sorus 2023

Wydanie I, Poznań 2023

ISBN 978-83-67139-01-4

Wydaj z nami swoją książkę!

www.sorus.pl/formularz-zgloszeniowy

Wydawnictwo Sorus

Księgarnia internetowa: www.sorus.pl

Przygotowanie, druk i dystrybucja

DM Sorus Sp. z o.o.

ul. Bóżnicza 15/6, 61-751 Poznań

tel. +48 61 653 01 43

sorus@sorus.pl

SPIIS TREŚCI

Wiosna: Afryka.....	8
1. Uganda: Dotyk goryla.....	9
2. Mali: Wieczorem w Timbuktu	29
3. Egipt: Podróż do Siwa.....	57
Lato: Ameryka Południowa	88
4. Kolumbia: Spacerem do raju – Tayrona i my	89
5. Ekwador: Motorówką na Galapagos	101
6. Brazylia: Złośliwy tukan znad Iguazú	111
Jesień: Ameryka Północna, Karaiby	126
7. Grenlandia: Corrida z wołem piżmowym	127
8. Kanada/USA: Dreszczowiec nad Niagarą.....	139
9. Jamajka: Yama i księżycowa zatoka	165
Zima: Azja	190
10. Iran: Kontrabanda w Shiraz.....	191
11. Japonia: Rekin na horyzoncie	221
12. Tadżykistan: Afganistan za rzeką i Polka na odludziu.....	243
Podziękowania	269

Książkę dedykuję moim rodzicom

*Dzięki Wam jestem,
kim jestem,
i wciąż uczę się,
rozwijam
i spełniam marzenia*

WIOSNA: AFRYKA

ROZDZIAŁ 1.

DOTYK GORYLA

Po trudnej przeprawie drogami Ugandy, które do najlepszych nie należą, przez Park Narodowy Królowej Elżbiety (nazwany tak na cześć brytyjskiej monarchini po jej wizycie w ówczesnej jeszcze kolonii) docieramy do górskich lasów pogranicza ugandyjsko-rwandyjsko-zairskiego. Pierwszym wrażeniem jest przyjemny klimat w rejonie Bwindi – mimo że jesteśmy w okolicach równika, wysokość około 1000 m n.p.m. sprawia, że powietrze jest rześkie, a wieczory czasem nawet nieco chłodne. Dla nas, Europejczyków, to istna rozkosz po przebytych upiornych afrykańskich drogach pełnych kurzu i wybojów, ale i palącego słońca – jedyne, o czym marzymy, to zmycie z siebie czerwonej warstwy naturalnych gliniek i pozbycie się piaskowej maski zebranej głównie z pozbawionych asfaltu dróg.

Docieramy do Bwindi – małej miejscowości, która stanowi bramę wjazdową dla wszystkich żądnych wrażeń i gotowych na spotkanie z górkimi gorylami. Jeszcze nie wiedziałem, jakie czekają mnie wrażenia, ale same myśli pobudzały wyobraźnię. Do spotkania z tymi zwierzętami zainspirował mnie film „Goryle we mgle”. Być może inni też pod jego wpływem zapragnęli poczuć się jak Dian Fossey, a może przybyli tu, żeby przeżyć przygodę lub pochwalić się znajomym i wzbudzić ich zazdrość, doświadczyć czegoś, co dla wielu pozostaje tylko dość iluzorycznym marzeniem. A może po prostu bez żadnej szczególnej przyczyny Bwindi jest tylko ich przystankiem w trakcie penetracji Afryki. Nie ma to żadnego znaczenia,

czy znaleźliśmy się tu przypadkowo, czy zaplanowaliśmy, jak ja czy kilka innych osób, tu dotrzeć, bo przez ten czas wszyscy byliśmy na siebie skazani. I tak różne postawy, charaktery, a nawet różne nacje połączyło pragnienie spojrzenia gorylowi w oczy lub dostrzeżenie go choćby wśród gąszczu tropikalnej dżungli.

W moim przypadku sama myśl spotkania się oko w oko z gorylami jest emocjonująca. Docieramy do obozu, gdzie mamy spędzić kolejne dwie noce. To miejsce trochę na uboczu osady, ale wszędzie jest blisko. Mieszkamy w namiotach, ale z pełnym wyposażeniem, więc jak na obozowe warunki nie można narzekać: są łóżko, łazienka, a tam WC, prysznic, a nawet ciepła woda, więc można powiedzieć – pełnia szczęścia! Przed niektórymi namiotami stoją nawet ławeczki jak w ośrodku zakładowym wczasów FWP nad polskim Bałtykiem, tylko zamiast parawanów i materacy trekkingowe buty i afrykańskie laski z misternie rzeźbionymi detalami tak pomocne podczas górskiej wspinaczki. Cywilizacja pełną gębą, ponieważ nawet w pobliskiej szkole jest dostęp do Internetu oraz znajduje się szpital, co na tak niewielką osadę to istny cud jak na afrykańskie warunki! Mam tylko nadzieję, że nie będzie okazji sprawdzać na własnej skórze, jak wygląda tu opieka zdrowotna. Niech zostanie bezpieczna świadomość, że pomoc medyczna jest na wyciągnięcie ręki. I nie pytajcie o szczegóły, bo dalej w ten temat nie chciałbym się zagłębiać. Wychodzę z założenia, że pozytywne myślenie odpędzi wszelkie „gdyby coś” i nie czas na takie rozmyślania. Jest tyle nowych smaków, widoków, zapachów i barw, że na tym postanawiam się skupić :)

Kontakt z mieszkańcami jest pełen wzajemnego zainteresowania. Bwindi to obszar Parku Narodowego, gdzie znajdują się parafia, szkoły, a mieszkańcy obsługują lokalne obozowiska i hoteliki, więc nie można uznać, że to oddalona od cywilizacji osada, a my jesteśmy niezwykłymi gośćmi, którzy dotarli tu przypadkowo. Biały człowiek tutaj jest codziennością, a nawet więcej, stanowi podstawę funkcjonowania tej osady, która żyje z kontaktu z turystami czy badaczami. Ten kontakt powoduje, że różnice kulturowe się zatarły, a przynajmniej tak się wydaje na pierwszy rzut oka. Dzięki gorylom też zmieniła się świadomość lokalnej wspólnoty, a ich myślenie o le-

sie otaczającym Bwindi jako domu dla ich dzikich sąsiadów robi na mnie wrażenie, choć ma wymierny aspekt ekonomiczny. Rachunek jest prosty: są goryle, są turyści, więc i są pieniądze, aby się utrzymać. I nie mam na myśli luksusów, ale podstawowe minimum, hmm... zawsze coś, aby przetrwać!

Robimy szybkie rozpoznanie terenu: sklep, kilka stoisk z pamiątkami, droga do szkoły i szpitala, droga do administracji Parku Narodowego Bwindi, skąd nazajutrz wyruszymy na poszukiwanie goryli. Znajduje się też kilka hotelików, jest bar, gdzie wieczorami miejscowi mogą się zbratać z turystami przy zimnym piwie – i to cała osada.

Przed kolacją przychodzi lokalny przewodnik Steven z informacją o jutrzejszym trekkingu. Musimy się podzielić na dwie ośmioosobowe grupy, ponieważ tylko takie (nie większe) mogą się poruszać po terenie, gdzie królują goryle. Chodzi o zachowanie intymności i ograniczenia liczby odwiedzających dla dobra dzikich goryli i ich środowiska naturalnego. Takie zasady i nie ma dyskusji.

Zaczynają się więc dyplomatyczne rozszady, kto z kim wyruszy na trekking. Ja już mam wstępnie ustalone, w jakim składzie pójdę, a jedynym wyznacznikiem nie jest ani wiek, ani sprawność fizyczna, ale nadawanie na tych samych falach, co chyba jest najistotniejsze nie tylko w trekkingu, ale również w życiu.

Przed kolacją część naszej ferajny odwiedza tę miłą knajpkę, żeby się duchowo nastroić i przygotować do jutrzejszej wyprawy. Można tu przy coli lub piwie popatrzeć na toczące się życie wioski i odetchnąć po trudach podróży. Czas się rozpakować i przygotować do kolacji, podczas której ustalamy, kto i z kim rusza jutro.

Namioty znajdują się w górskim lesie, więc – słuchając odgłosów dżungli – w drodze na kolację można zaprzyjaźnić się z lokalnymi przedstawicielami afrykańskiej fauny. Przed kolacją jednak czas na zimne piwo po trudach podróży i tylko ktoś, kto przemierzał ten kontynent, rozumie, jak ono smakuje.

Zbiórka na kolację. Obozowa garkuchnia i miejsce spożywania posiłków znajdują się na samym szczycie obozu, który jest przytulony do jednego

z miejscowych wzniesień. Ci, którzy dostali namioty na górze i wcześniej narzekali na wspinanie się, teraz mają rzut beretem do miejsca posiłku i zbiórki. Ja trafiłem do namiotu w połowie drogi, więc nie mogę narzekać, bo jest blisko i do osady, i restauracji. Zmierzch zapada dość szybko i nastaje czas odprawy. Kucharz szykuje coś do jedzenia, a nasz przewodnik czeka na cały zespół.

Ekipa jest w komplecie, ale jak to zwykle bywa, nastroje są mieszane. Może to wpływ stresu przed jutrzejszą wyprawą, a może po prostu muchy w nosie. Ostatecznie po długich i zażartych dyskusjach utworzyliśmy dwie ośmioosobowe grupy. Każda z nich miała odwiedzić inną gorylą rodzinę. Rozchodzimy się do swych namiotów. Za namową naszej zgranej już ekipy idę na piwo, żeby ochłodzić temperaturę przed jutrzejszą wędrówką. Zamiast tego wzajemne dyskusje nakręcają nas jeszcze bardziej. Czas na sen.

Kiedy leżę już w łóżku, napływa rzeka myśli, która nie pozwala usnąć: Jak to będzie? Czy spotkamy goryle, czy zobaczymy je z bliska, czy tylko cienie wśród wierzchołków drzew? Czy dopisze pogoda? Jak długo będziemy tropić stado, zanim je dostrzeżemy? Już coraz później, a myśli wciąż kołatają się w głowie. Emocje i adrenalina przed nieznanym długo nie pozwalają zasnąć. Wreszcie – wśród odgłosów dżungli – emocje opadają i nadchodzi upragniony sen...

Już świt! Czas wstawać! Po tak krótkiej nocy trudno opuścić łóżko, ale myśl, że za kilka godzin spotkamy legendarne górskie goryle, jest bardzo motywująca. Jeszcze szybki prysznic, pakowanie plecaka, lekkie śniadanie (bo innego nie ma) i czas ruszać w drogę.

Pierwszym przystankiem jest siedziba Parku, gdzie spotykamy się z rangersami i lokalnym przewodnikiem. Otrzymujemy instrukcje, jak zachować się w różnych sytuacjach podczas spotkania z gorylami, trochę teorii, film instruktażowy i kilka praktycznych rad:

- nie zbliżaj się do stada bliżej niż 7–8 m,
- w przypadku zagrożenia nie uciekaj i pokaż uległość przewodnikowi stada (silverback),
- nie karm zwierząt,

– nie przechodź między gorylami na ich drodze, bo bywają niebezpieczne w chwili zagrożenia – to najważniejsze z nich, było jeszcze kilka, ale uleciały.

Pouczeni i głodni wrażeń ruszamy wreszcie na szlak. Najpierw przyjeżdżamy do punktu, gdzie zostawiamy nasz pojazd, a wraz z nim resztki cywilizacji, i powoli zagłębiamy się w tajemniczy afrykański górski las pełen niespodzianek. W miejscu wymarszu czekają tragarze chętni pomóc w trudach górskiego trekkingu, zwłaszcza osobom niezaprawionym w tego typu wędrówkach.

Jak się dowiedzieliśmy, całe wioski w okolicy żyją z tego typu usług, a dziesięć dolarów, czyli dniówka tragarza, często bywa jedyną możliwością zarobienia pieniędzy. To, co urośnie na przydomowym poletku, nie zawsze wystarcza na wykarmienie całej afrykańskiej rodziny, które są tradycyjnie liczne.

Dla nas to też dobra okazja, żeby za jedyne dziesięć dolarów sobie ulżyć, a przy okazji pomóc konstruktywnie lokalnej społeczności. Mój plecak nie jest ciężki, bo poza sporą ilością wody, jaką trzeba zabrać, mam aparat, odzież na przebranie i banany dla pokrzepienia.

Na spotkanie z gorylami mamy tylko jeden dzień, a przecież to nie zoo, lecz dzika dżungla, i nikt z przewodnikiem lokalnym włącznie nie wie, kiedy, gdzie i czy uda nam się spotkać goryle. To swoista gra w ciemno – pieniądze zapłacone, i to niemałe, ale gwarancji żadnych nie ma. Pozostają jedynie szczerze zapewnienia pracowników Parku Narodowego, że zrobią wszystko, aby się udało. No cóż, pozostaje wierzyć i uzbroić się w cierpliwość.

Choć nie jestem słabeuszem, korzystam z pomocy tragarza i ruszamy na szlak. Zanim dotrzemy do dziewiczego górskiego lasu, musimy przejść przez górskie gospodarstwa rozsiane na wzgórzach, plantacje bananów i manioku. Tarasowe poletka wyglądają malowniczo z oddali, ale z bliska to niezła gimnastyka dla głodnych wrażeń białasów, stanowią one spore wyzwanie, biorąc pod uwagę wysokość, klimat i panującą tu temperaturę. To tor przeszkód o średnim stopniu trudności, a zdobywanie kolejnych tarasów nie dla wszystkich skończyło się sukcesem. Na trasie pozostał Władek,

uroczy człowiek, zapalony turysta i typ wytrwałego podróżnika, który niejedno już widział, ale rozsądek zwyciężył i został w otoczeniu miejscowych, co – jak się później okazało – też było ciekawym doświadczeniem.

Reszta dociera wreszcie to ściany lasu, co wcale nie oznacza, że skończyły się trudy, przeciwnie, one dopiero się zaczynają. Zmęczenie narasta, ale i atmosfera wyprawy też się zagęszcza. Po dwóch godzinach wędrówki szanse na spotkanie goryli maleją, niebo zasnuwa się chmurami dosłownie i w przenośni. Przed nami rysuje się czarny scenariusz, bo jeśli zacznie padać, spotkanie z goryłami zostanie niespełnionym marzeniem. Przewodnik obiecuje, że spotkamy goryle, lecz jego mina mówi zgoła co innego.

Zmęczenie i nikła nadzieja na spotkanie powodują, że na dalsze wędrowanie zaczyna brakować motywacji, a droga jest jak tor przeszkód: szczyt wzniesienia i dolina, kolejny szczyt i dolina, czasem trzeba jeszcze pokonać górski potok bez mostka czy kładki, nie ma żadnej drogi czy dróżki. Przechodzimy się przez gęsty górski las i przepławiamy się przez kolejną rzeczkę. Jeden z uczestników wyprawy topi aparat. Ma pecha, bo na karcie miał sporo materiału z wyprawy, a sprzęt na tani nie wygląda. Zamiast zainwestować dziesięć dolarów w porządną laskę do wsparcia, wystruganą przez miejscowych z mahoni lub innego twardego drewna, zaufał teleskopowemu stojakowi, który nijak nie spełniał funkcji laski w takich warunkach. No cóż, uczymy się całe życie :) a tanie oszczędności później się mszczą.

Każde kolejne wzniesienie to rosnące emocje, a przed szczytem adrenalina pcha nas do przodu. Niestety bez wyczekiwanych zwierząt energii jest coraz mniej. I kiedy ochota na dalszą wędrówkę jest bliska zeru, niespodziewanie okazuje się, że rangersi są na tropie rodziny goryli. Wysyłają sygnał do przewodnika, że mają kontakt wzrokowy ze zwierzętami. Zastanawiamy się, czy to tylko blef, żeby się nie poddać. A może jednak są tam goryle. Z niedowierzaniem, ale bardziej zmotywowani ruszamy. Przed nami wyrasta kolejna góra i słyszymy obietnicę, że za nią być może są goryle. Po twarzach uczestników wnioskuję, że mogą się poddać, co mnie trochę przeraża. Tyle trudu, taka długa podróż z Polski i mielibyśmy wrócić na tarczy. Jestem optymistą, ale sił jest coraz mniej. Jeszcze kilka wzniesień,

jeszcze dam radę, ale niektórzy chyba już nie. Powoli docieramy na szczyt. Rozglądam się i na twarzach uczestników wyprawy dostrzegam zwątpienie. Zmęczenie nie pomaga. Zastanawiam się, czy to już ostatni zdobyty szczyt i pasujemy. Nie chcę o tym myśleć.

A tu niespodzianka! I to jaka! Na leśnej polanie rodzinka goryli robi sobie popołudniową sjęstę. Rodzina nie jest duża: wielki silverback, dwie samice w orszaku samca alfa, młoda matka z niemowlakiem i trzech gorylich podrostków na wylocie, czyli kawalerowie do wzięcia. Jeszcze tolerowani przez przywódcę, ale bez praw do samic, więc niedługo zaczną szukać szczęścia w pojedynkę. Jak się im poszczęści, założą własne stado, ale może też dojść do konfrontacji na łonie rodziny. Czas pokaże, jaką wersję zafunduje im los i co podpowiedzą hormony, a póki co kawalerska beztrojska i nieposkromiona chęć do wszelkiej zabawy we wspólnym gronie biorą górę nad innymi obowiązkami.

Pierwsza na szczyt dociera Ewa i ma okazję do integracji z goryłami, które z ciekawością i rezerwą, ale bez wrogości podchodzą do intruzów. Ewa idzie na pierwszy ogień, ale po chwilowym zainteresowaniu wizytą niespodziewanego gościa goryle wracają do poobiedniej sjęsty. Mamy dużo szczęścia, ponieważ zwierzęta skończyły posiłek na szczycie drzew. Goryle są zagorzałymi wegetarianami, więc ich dieta składa się głównie z liści drzew i innych tropikalnych „wegetariańskich sałatek”, jakie mogą znaleźć w lesie. O ile szympansy pozwalają sobie na urozmaicenie diety roślinnej jajami ptaków, małymi pisklętami czy owadami, goryle są bardziej konsekwentne i nie pozwalają sobie na takie kulinarne ekstrawagancje.

Goryle korony drzew traktują jako wielką naturalną kuchnię, ale również wśród wysokich konarów zakładają gniazda, gdzie spędzają noce, a na dno lasu schodzą, żeby się zrelaksować i pobawić w rodzinnym gronie. Nasza nagroda jest niezwykła, bo właśnie na taki moment trafiliśmy. Wysięk się opłacił. Pojawiły się pierwsze uśmiechy i uczucie spełnienia.

Mimo sielankowej swobody po krótkiej obserwacji goryli widać wyraźnie określone zasady panujące w rodzinie. To monarchia absolutna, a jedy-

nym i niepodważalnym władcą stada jest silverback. Nie widać śladu demokracji, o wszystkim decyduje on...

Sam cesarz rzymski mógłby brać lekcje od goryli, jak uczyć posłuszeństwa poddanych. Dzięki zwierzęta w tropikalnej dżungli, porośniętej chaotycznie płataniną przypadkowych roślin, tworzące zielone piekło mało przyjazne dla białego człowieka, pełne dziwnych owadów, trujących roślin, kolczastych lian, czyli nic, co przypominałoby harmonię i rajski porządek biblijnego Edenu, więc skąd tyle ludzkiego poukładania?

Bez zagłębiania się w szczegóły teorii Darwina, nie można mu odmówić racji, przypatrując się tej rodzinie goryli. Musi być zachowany porządek i muszą być ustalone jasne reguły, żeby przetrwał gatunek. I tylko zwycięzca ma rację. Coś mi to przypomina... Ale dosyć skojarzeń.

Jesteśmy tu intruzami, ale uprzednio przeszkolonymi, z abc zachowania na gorylim dworze zapoznaliśmy się w siedzibie Parku, zanim ruszyliśmy na wyprawę. Czas miał niedługo pokazać, czy w praktyce ma to zastosowanie i jakie...

Pierwsza euforia zbliżenia się do goryli mija podobnie jak strach przed tymi dużymi zwierzętami i zaczyna przejawiać się ludzka ciekawość, więc aparaty w dłonie i ruszamy na bezkrwawe polowanie po najlepsze ujęcia. I w tym wypadku goryle mogą się od nas uczyć bezwzględności w osiągnięciu celu. Najważniejsze są moje zdjęcie i mój aparat, bo właśnie w tej samej chwili każdy ma ochotę na najlepsze foto. Jakby startował w konkursie World Press Photo... Co mogą o nas pomyśleć te stworzenia, jeśli w ogóle zaprzętają sobie tym głowę: banda paparazzi żadna sensacji. OK, mają swoje czterdzieści pięć minut, a potem niech dadzą nam spokój, bo jeśli nie, to sobie sami pójdziemy.

Jest jednak w tych zwierzętach coś ujmującego, co sprawia, że każdy – bez względu na profesję i zdolności fotograficzne – staje się paparazzi i strzela bez opamiętania fotki na prawo i lewo. Patrząc na to z boku, wygląda to komicznie i trochę przerażająco. Nikt jednak w tej chwili o tym nie myśli, jest ograniczony czas, więc wszelkie zasady savoir-vivre idą do kosza. Dosłownie rasowi paparazzi, jakby uczyli się tego od lat. A może to

instynkt? Jakby zdjęcia miały nam uratować życie lub byłaby szansa na zarobienie góry pieniędzy za jedną najlepszą fotografię. Chyba i ja poddałem się temu szaleństwu całkiem bezwolnie, ale z dużym zaangażowaniem.

Goryle nie przejmują się naszą obecnością i po krótkiej chwili wracają do codziennych zajęć. Wielki silverback rozłożył się wygodnie i nie ma ochoty na integrację z innym gatunkiem, ale mimo rozleniwienia czujnie dogląda stada. Małolaty, które za kilka lat będą starały się zdetronizować obecnego władcę stada albo opuszczają rodzinę, bawią się w najlepsze, młoda matka opiekuje się swoim gorylątkiem tak, że niejedna ludzka matka mogłaby się uczyć od niej czułości i delikatności – pieści, przytula, głaszcze malucha. Gdy się na to patrzy, nie sposób uniknąć zwykłego wzruszenia i zadumy nad bliskością naszych gatunków, nawet jeśli komuś nie pasuje to porównanie.

Jak na goryli dwór przystało, samica alfa nie chce być gorsza od faworyt rzymskich cesarzy i w wyuzdany sposób próbuje przypodobać się gorylemu władcy. Najpierw go muska, iska insekty, żeby wzbudzić jego zainteresowanie, następnie zalotnie daje do zrozumienia, że jest gotowa na coś więcej. Prezentuje swoje wdzięki, a tu niespodzianka! Rozleniwiony samiec zamiast skorzystać z propozycji w leśnej gęstwinie, na oczach głodnych wrażeń ludzi ogranicza się do pettingu i symulacji aktu palcem ku uciechu faworyty i części ludzkiej gawiedzi, która to z zainteresowaniem obserwuje. Na tym jednak lekcja erotyki w gorylej wersji się kończy i jedynie pozostaje niedosyt u niektórych operatorów amatorów, gotowych nakręcić swój pierwszy afrykański erotyk.

Wracamy do standardowej dokumentacji, a pikantne sceny nawet niektórym umknęły w ferworze fotograficznej sesji. Każdy ma inną koncepcję zrobienia zdjęcia, a zaciemnienie dna lasu nie sprzyja prostym rozwiązaniom i wymaga zmian obiektywów i większego zaangażowania i refleksu w pracy ze sprzętem. Nie ma czasu na amatorszczyznę. Fotosesja z goryłami trwa na całego, a gorączka jak na wybiegu podczas tygodnia mody w Mediolanie, Paryżu czy Nowym Jorku.

Nagle wydarza się coś zgoła niezwykłego i na pierwszy rzut oka dość niebezpiecznego. Oto samica alfa po nieudanej próbie miłosnych igraszek

postanawia sprawdzić, co to za ludzkie towarzystwo obserwuje jej rodzinę. I pech chciał albo szczęście sprawiło, że trafia na mnie w swoim zainteresowaniu. Nie tracąc czasu, robi rozpoznanie terenu.

W mgnieniu oka kilkoma susami jest już przy mnie na wyciągnięcie ręki, ale na tym nie poprzestaje i manualnie zaczyna sprawdzać, z kim ma do czynienia. Nie ukrywam, że w tym momencie serce podchodzi mi do gardła i w telegraficznym skrócie przypominają mi się zasady zachowania w otoczeniu goryli: zasada pierwsza – trzymać minimalny dystans około siedmiu–ośmiu metrów, która już została złamana, ale nie przeze mnie, lecz gorylicę. Nie ma to jednak teraz żadnego znaczenia, bo kątem oka widzę niezadowoloną minę silverbacka, która oznacza jedno: „Wara od mojej własności! Tylko zrób, człowieku, jeden nieodpowiedni ruch, a będziesz miał ze mną do czynienia. Obserwuję cię!”. Zasada druga – nie patrz prosto w oczy goryla, a szczególnie samca! Więc szybko spuściłem wzrok, żeby pokazać swoją uległość. Ale czy to by wystarczyło?

Poza wszelkimi innymi aspektami tego potencjalnego pojedynku walka byłaby nierówna i z góry skazana na porażkę: on – 230 kg mięśni i na własnym terenie, ja – jakieś 85–88 kg, też atletycznej budowy, ale nie ta kategoria wagowa. Historia walki Dawida z Goliatem w tym wypadku nie ma racji bytu. Nie mam nawet procy.

Gorylica metodycznie zabiera się do badania mnie, a polega to na klepaniu po plecach, a następnie popychaniu w kierunku stada. Nie mam szans na werbalną relację i krótki wywiad środowiskowy. Gorylica zdaje się pytać: „Człowieku, skąd jesteś, co tu robisz poza podglądaniem naszej rodziny, jak nas znalazłeś i kim jest reszta tej dziwnej bandy z aparatami?”...

Jako reprezentantka płci pięknej mogłaby jeszcze zapytać: „Dlaczego jesteś tak niezdrowo biały?”. Ze strachu, a może niezdrowo się odżywasz i jesz za dużo tłuszczu i mięsa? Być może podobne pytania padły w trakcie tego badania, a ja, nie znając gorylego języka, potraktowałem je jako zwierzęce pomrukiwania. Czuję jej dłoń na swoim ramieniu i wzrokiem szukam pomocy u rangersów stojących w pobliżu. Moje oczy mówią błagalnie: „Zróbcie coś, bo zaraz będzie za późno... Pleeeaaase...”. Ale nie widzę żadnej

reakcji. Jeszcze kilka klepnięć i samica bez cienia agresji, a nawet z wyraźną aprobatą gorylej rodziny pcha mnie w kierunku stada. Pouczony wcześniej, jak zachować się w bliskiej odległości od goryli, szybko wertuję w pamięci kolejne punkty instrukcji: żadnych gwałtownych ruchów, żadnej widocznej wrogości... I co mi po tym, jeśli zaraz stanę oko w oko z wodzem stada.

Reszta mojej grupy w fotograficznym amoku szuka okazji na najlepsze zdjęcie – a to bawiące się małolaty, a tu samica z maluchem i dostojny on, silveback we własnej osobie w wersji portretowej. Kto będzie patrzył na innych członków ludzkiego gatunku, skoro pozostało może jeszcze dwadzieścia pięć minut, a może mniej, na obcowanie z dzikimi goryłami w środku dziewiczego tropikalnego lasu górskiego w sercu Afryki. To kwintesencja tego wyjazdu, za który nie mało zapłacili. W tej chwili jesteśmy: ja i goryle.

Jeszcze chwilę temu myślałem podobnie, a teraz znalazłem się zupełnie w innym miejscu i w środku innej historii. Goryła faworyta próbuje mnie bardzo subtelnie, jak na gorylicę, przepchnąć w stronę samca alfa. Zastanawiam się, w jakim celu. Mam być jeńcem, zdobyczą, a może ma ochotę na tercet egzotyczny? Ja zdecydowanie nie! Nie wzbudzając zaniepokojenia w stadzie, stawiam bierny opór, zapierając się, jak to tylko możliwe, w leśnej ściółce, i tęsknym wzrokiem wypatrując pomocy od pracowników Parku. Po krótkiej chwili gorylica niespodziewanie kończy manualną próbę zapoznania się i oddala się w kierunku samca alfa, jakby przywołana jego karcącym wzrokiem: „Wystarczy, kochanie!”.

Pierwsze, co robię, to trzema susami wściekły staję przy rangersie, który trzyma naładowaną broń. Przez zaciśnięte zęby syczę:

– Czy widziałeś, co się działo?! Dlaczego nic nie robiłeś, nie zareagowałeś, tylko biernie się przyglądałeś?! Byłem już bliżej niż pięć metrów od samca alfa w otoczeniu jego faworyty. Przecież mógł się na mnie rzucić! Po co tu jesteś? Od parady?! To się mogło skończyć tragicznie i znając życie, pewnie byś nie strzelał do goryli. Więc co tu robisz? – i rzuciłem mocniejszym epitetem.

Zamiast skruchy czy przeprosin, na które liczyłem, usłyszałem coś, co było jeszcze bardziej zaskakujące, niż zdarzenie, które rozegrało się chwilę

temu. Pracownik Parku bez emocji, być może nie pierwszy raz miał do czynienia z taką sytuacją, ze stoickim spokojem skomentował:

– Ja i moi trzej koledzy uważnie obserwowaliśmy, co się działo, i byliśmy gotowi na interwencję. Wystarczyło, żeby samica zaczęła krzyczeć lub wydawać inne groźne odgłosy oznaczające ni mniej, ni więcej: uwaga niebezpieczeństwo! Wówczas interweniowałby silverback, strzelalibyśmy w powietrze, aby je przegonić. Najczęściej to wystarczy i nie trzeba sięgać po bardziej drastyczne metody.

Przyznam, że nawet nie chciałem wiedzieć, jakie to metody, i nie był to dobry moment, aby rozwijać dywagacje. Cierpliwie wysłuchałem z coraz większym zdziwieniem i zainteresowaniem, co miał mi do powiedzenia.

– To jak mam rozumieć zachowanie samicy? – zapytałem i dodałem: – Możesz mi to wyjaśnić?

– To proste – powiedział z tajemniczym uśmiechem. – Ich zwiadowczynie zrobiła swoje, sprawdzała ciebie jako przedstawiciela tej dziwnej grupy i chciała wiedzieć, z jakimi zamiarami się pojawiłeś, a ponieważ było OK, wróciła spokojnie do stada.

– To po co mnie pchała w stronę silverbacka? – Nie dawałem za wygraną.

– Jakby ci to powiedzieć. – Pracownik Parku zawahał się i spojrzał na mnie z szacunkiem. – Możesz czuć się wyróżniony. Zostałeś zaakceptowany i przyjęty do gorylej rodziny, ale pewnie jako szeregowy członek stada, bez wielu praw. – Uśmiechnął się. – Ale zawsze masz gdzie wrócić, gdybyś poczuł się samotny... Masz swoją gorylą rodzinę w górach Bwindi...

Słuchałem pracownika Parku z niedowierzaniem i otumaniony emocjami. Co? Jak? O co chodzi? Ja i gorylą rodziną? Śmieszne! Aż wreszcie do mnie dotarło! Tak, zostałem przyjęty do gorylej rodziny, cokolwiek to znaczy. To niezwykle uczucie i niepowtarzalny moment. Czy tak było, czy nie, już pewnie nie sprawdzę, ale w drodze powrotnej szło mi się dużo łatwiej, a w głowie kołatała abstrakcyjna i nedorzeczna, ale radosna myśl, że mam swoją gorylą rodzinę. Zostałem do niej przyjęty i tutaj, w górskich tropikalnych lasach, nie jestem już obcy!

Pewnie pozostali uczestnicy wyprawy nawet nie zwrócili uwagi, że wracałem uśmiechnięty i trochę odmieniony. A tak było. Na ramieniu wciąż czułem dotyk gorylej ręki, który mi towarzyszył jeszcze w obozie. Byłem tak podekscytowany, że trudno było mi zasnąć od nadmiaru adrenaliny. Nazajutrz zaplanowałem wysłać wiadomość znajomym i odpowiedzieć na zaproszenie na bal pilota i formalności związane z odebraniem tytułu: „Pilota Roku”! Ale to stało się takie odległe i nierealne... Prawdziwy był dotyk goryla! Ja i goryle, reszta gdzieś daleko za horyzontem. To uczucie zabieram ze sobą już na zawsze.

Wracamy przez te same pola herbaty, plantacje bananów i górskie tarasowe poletka, gdzieniegdzie upstrzone domostwami lokalnych rolników i ich rodzin. Bliżej wsi podchodzą do nas dzieci z rysunkami i małymi wydłubanymi w drewnie wizerunkami goryli, czasem bardziej, czasem mniej przypominającymi oryginały. Wracamy spełnieni. Były goryle, więc jesteśmy bardziej skłonni na integrację i bardziej hojni oraz gotowi kupować dość niewyszukane dzieła (chyba że komuś jest bliski Nikifor Krynicki, to jest tu sporo jego afrykańskich naśladowców w okolicznych wsiach). Jesteśmy zmęczeni, ale i czujemy dużą satysfakcję. Nadszedł czas na relaks i rozważania o tym, co się wydarzyło. Życie napisało niezwykle scenariusz.

Po drodze do obozu zabieramy Władka, który mimo że dzielnie się starał, ostatecznie po kolejnym stromym wzniesieniu powiedział „pas”. Chwała mu jednak za to, że podjął wyzwanie i mimo wieku oraz nie najlepszej już kondycji długo się nie poddawał. Co prawda, nie zobaczył goryli, co było jednym z głównych powodów tego wyjazdu, ale miło spędził dzień. Został w jednej z osad, gdzie był tam polskim ambasadorem i dobrym białym wujkiem ku uciesze głównie lokalnej dzieciarni, chętnej do rozmów i otwartej na nowości, ale też zgłębiał tajniki produkcji lokalnej bananówki i nawiązał pierwsze polsko-ugandyjskie stosunki gospodarcze z miejscowym producentem tego trunku, nabywając kilka butelek dla siebie i reszty. Do podpisania umowy jeszcze nie doszło, ale słowne deklaracje i uściski dłoni były, i obietnica, że może po degustacji wrócimy po więcej.

Dzięki temu mieliśmy okazję też spróbować tej egzotycznej mikstury. Może nie jestem smakoszem ani koneserem, a i ilość była symboliczna (łyk na dezynfekcję gardła i nawet nie wystarczyło na znieczulenie obolałych wspinaczką mięśni), to jedno mogę powiedzieć, mocna ta bananówka i zero posmaku bananów. Wódka z bananów, tak można ją określić, bardziej przypominała w smaku samogon w dużym stężeniu (wydawało się, że ma powyżej 50% mocy, niektórzy nawet twierdzili, że 70%), więc można by nią i rany odkażać. Na szczęście nie było takiej potrzeby.

Bananowy samogon smakował wyjątkowo, bo piliśmy go pod drzewami bananowca w cieniu, a wokół nas produkcja trunku trwała w najlepsze. Na plantacji rozstawiona była aparatura do destylacji, misterne kadzie, wężyki, szklane elementy, jak jakieś niezwykle laboratorium szalonego naukowca w tropikach, a do plastikowych butelek na bieżąco kapały kropelki przezroczystego płynu o sporej mocy.

Od miejsca wyjścia w góry do bramy naszego domu wracamy już bussem, ale zanim ułożymy się wygodnie na naszych namiotowych łóżkach po wymarzonej prysznicu, który był niczym luksusowe spa, czas jeszcze na wizytę w siedzibie dyrekcji Parku, aby odebrać drobne, ale jakże cenne drobiazgi – certyfikaty imienne upamiętniające dzisiejszy trekking z pełną informacją o rodzinie, którą odwiedziliśmy.

Jak już wspomniałem, każdy członek gorylej rodziny ma swoje imię podobnie jak rodzina. Nasza nazywała się Mubare, a jej przywódca Ruhondeza. Tę personalizację miejscowe goryle zawdzięczają Dian Fossey, jej pracy oraz jej następców, a nam i innym turystom odwiedzającym to miejsce pośrednio względny spokój i bezpieczeństwo. To z pieniędzy zostawianych tu corocznie można monitorować i chronić te rzadkie i niezwykle zwierzęta, aby kolejne pokolenia mogły cieszyć się ich widokiem na wolności. Tego szczęścia nie mają ich bracia z Demokratycznej Republiki Konga zamieszkujący najstarszy w Afryce i jeden z piękniejszych parków narodowych Afryki – Park Narodowy Wirunga.

Sytuacja polityczna w tym kraju daleka jest od stabilności, co przekłada się na populację goryli górskich. Niby mało znaczący drobiazg, ale jeśli

wchodzi w grę egzystencja i walka o przetrwanie kolejnego dnia, tygodnia czy miesiąca, temat ochrony ginącego gatunku staje się tak abstrakcyjny jak jeszcze wiek temu lot w kosmos. W Demokratycznej Republice Kongo goryle nie są traktowane jak dobro narodowe przynoszące dochody i stabilizację, ale jak inne zwierzęta są źródłem skóry i mięsa oraz przemytu i handlu żywym, choć nie ludzkim towarem.

Jeden egzotyczny kontynent, a jak wielka przepaść dzieli te dwa kraje: Ugandę i Demokratyczne Kongo (dawny Zair). Granica je dzieląca to nie tylko linia na mapie, to również przepustka do lepszego życia, dobrobytu, a czasem nawet jedyna nadzieja na przetrwanie w pełnym przemocy, chaosu, biedy i wzajemnego wyzysku kraju. Ta granica to jak kiedyś żelazna kurtyna między sowieckim imperium a tak zwanym światem zachodnim. To jednocześnie jak zielona granica, której przekroczenie jest zielonym światłem nadziei nie zawsze realnym, czasem tylko iluzorycznym do lepszego życia.

Ale to już temat na osobną opowieść. Może będzie okazja przy historii o tamtejszej partyzantce, o leśnych słoniach czy rzadkim i tajemniczym okapi, które jako jeden z wielu gatunków zagrożonych wojennym konfliktem wybrało wolność i emigrację. Okapi zasiedliły w liczbie kilkunastu sztuk mały, ale niezwykły Park Narodowy Semuliki po stronie ugandyjskiej, chroniący tropikalną afrykańską dżunglę z jej fauną i florą, gdzie okapi – jako jeden z najrzadszych gatunków – jest chwilowo częścią ekosystemu, może zostanie na dłużej i wówczas stanie się jej nieoszlifowanym diamentem i magnesem przyciągającym przyrodników z całego świata. Gatunek ten, który występował tylko na terenie Kongo, został odkryty stosunkowo niedawno (na początku XX w.) i wciąż jest owiany mgłą tajemnicy, ponieważ rzadko jest on widywany na wolności. To też kolejna wyprawa, którą postaram się odbyć i w szczegółach zrelacjonować. Spotkanie oko w oko z okapi to wyzwanie i marzenie, które planuję urzeczywistnić.

Kończymy trekking w siedzibie Parku, są gratulacje, uściski dłoni obsługi, naszych trzech rangersów i przewodnika. Za chwilę będziemy w naszym campie, żeby w ciszy własnego namiotu celebrować samotnie to, co nas dziś spotkało, a potem być może znów w grupie przeżywać to raz jeszcze.

Jesteśmy zmęczeni, ale również bardzo ciekawi tego, co nas otacza. Nie tylko przyrody, ale i ludzi, więc pewnie czas na relaks będzie już po zmierzchu, a póki co prysznic, chwila na rozprostowanie kości i ruszamy do szkoły na przygotowaną dla nas prezentację miejscowych tańców i śpiewów w wykonaniu lokalnych dzieci. Była dawka mega pozytywnych emocji, a przed nami kolejne przeżycia i nieukrywane wzruszenia. Trudno opowiedzieć słowami, ponieważ to, co widzimy podczas przedstawienia, jest tak proste, tak autentyczne, że nawet twardzieli ściska za gardło. Jestem w gronie przyjaciół, osób bliskich i podobnie odbierających świat. Są Jadzia, Robert, Władek, ale każdy z nas przeżywa to trochę inaczej, po swojemu, w głębi swego serca, bo emocje są silne i prawdziwe jak mali artyści z miejscowej szkoły.

Mówiłem o umiarkowanym dostatku i spokoju, ale nijak to się ma do naszych wyobrażeń o dobrobycie i stabilności. Tu standardy europejskie są jak fatamorgana na pustyni. Trudno jest to zrozumieć komuś, kto nie był w Afryce i tego nie widział. Tu każdy długopis, każdy dolar ma wymierną, niebagatelną wartość. Ten niedostatek jest jak krzyk, jak otwarta rana, która boli mocniej, jeśli widzi się ją z bliska, nawet jeśli to nie nasza rana.

To szkolne przedstawienie to nie koncert folklorystyczny, raczej sprawdzian naszego człowieczeństwa, test na altruizm. Test przygotowany nie przez specjalistów od marketingu, ale przez życie i panujące warunki. Trudno go nie zdać... Chyba tylko zatwardziałe serce może być obojętne na to, co tu zobaczyliśmy. Tu jak w „Opowieści wigilijnej” łatwiej stać się lepszym człowiekiem bez względu na to, co ma się za uszami.

Jesteśmy w sercu Afryki, ale nie w geograficznym znaczeniu. Afryka to rytm, kolory, kontrasty, żar pożądania, to też wręcz zwierzęcy instynkt przetrwania, to dziecięca naiwność i ufność granicząca z bezradnością, to wiara, nadzieja, ale bez cywilizacyjnej otoczki, bez pozerstwa, udawania, gry... Namiętności, radość, ból i cierpienie są do głębi autentyczne. Taka jest Afryka, a my w tej chwili jesteśmy w samym jej sercu.

I takie jest przedstawienie, i takie są miejscowe dzieci. Nie jestem mięczakiem, ale wystąpienie dzieci ściska za serce i wzrusza. Sprawia radość

i wyciska łyzy, które widzę w niektórych oczach. To ta autentyczność tak na nas działa. Widziałem już w Afryce, gdzie dotarła wszędobylska komercja, szopki na potrzeby turystów, przebieranki w stylu: tańce góralskie w Warszawie do kotleta dla Japończyków. Cepeliadę w wersji afrykańskiej: Masa-jów skaczących podczas pokazów w luksusowych hotelach na Zanzibarze, czy Mursi w Etiopii, gdzie za każde zdjęcie skrupulatnie wyciągają rękę po pieniądze. To spotkanie było prawdziwe, dlatego emocje i wzruszenie po obu stronach były bez retuszu.

Po tym spontanicznym wypadzie do szkoły wracamy na główną ulicę Bwindi, choć brzmi to dumnie, żeby zanurzyć się w lokalnych kramach i zabrać ze sobą coś, co przypomni nam o trekkingu i gorylach.

Podczas zakupów nie mogłem zapomnieć o miejscowych realiach i starałem się odgrywać rolę sprawiedliwego ojca i tak kierować grupą, żeby w każdym z kramów zostawić choć trochę pieniędzy. Wyglądało to dość dziwacznie, bo chodziłem od sklepiku do sklepiku i namawiałem każdego, kto się pojawił, żeby coś kupić, zwłaszcza w tych biedniejszych, gdzie wybór był dość niewielki, a sprzedający nie przypominali arabskich handlarzy z suków z pamiątkami, lecz byli skromni, czasem onieśmieleni, skłonni opuścić cenę, byle klient cokolwiek kupił. W ich oczach były nadzieja i strach jednocześnie. Obawa, że klient pójdzie do sąsiada, co niestety niektórzy wykorzystywali, żeby zaoszczędzić przysłowiowego dolara, który dla nas jest tylko zabawą w targowanie i drobną satysfakcją, jeśli się uda uskubać dolara lub dwa, a dla nich jest wymierną wartością, będącą sporym zastrzykiem do domowego budżetu. Górę wziął altruizm, więc negocjowałem z naszymi turystami i pouczałem, żeby nie zdzierać ze sprzedających, lecz okazać hojność lub choćby przyzwoitość. Częściowo moja misja zakończyła się sukcesem, ale tam, gdzie poniosłem negocjacyjną klapę, bez ceregieli sam robiłem drobne zakupy, a radość w oczach sprzedających nie miała ceny!

Skutkiem tych zakupowych akrobacji stałem się właścicielem wielu „bezcennych” pamiątek, głównie większych lub mniejszych dłubanych w drewnie figurek goryli. Będzie co rozdawać rodzinie i znajomym.

Mam też prawdziwe skarby w postaci autentycznych afrykańskich rzeźb i masek.

Musiałem jeszcze wysłać pilnego maila. Skorzystałem z rowerowego taxi i po zakupach szybko pomknąłem do centrum wioski, gdzie był dostępny Internet. Rozumiem, czym była poczta i telegraf w dawnych czasach – jedyny prosty i szybki kontakt ze światem. Zostałem dwa stanowiska komputerowe w skromnym pomieszczeniu, właściwie bez ścian, w czymś w rodzaju namiotu, a ja czułem się jak w świątyni, gdzie mogę obcować z moim, a obecnie jakże odległym krajem. Sprawa prosta, a zarazem niezwykła. Kilka dni wcześniej dostałem SMS-a z informacją, że kapituła konkursu po rozpatrzeniu wszystkich kandydatur wybrała moją skromną osobę i uhonorowała mnie tytułem Pilota Roku.

Było to dla mnie miłe zaskoczenie i duże wyróżnienie, ale okoliczności, w jakich się o tym dowiedziałem, były dość niezwykłe: prawie na równiku i blisko źródeł Nilu – każdy podróżnik byłby szczęśliwy móc cieszyć się takim wyróżnieniem w podobnych okolicznościach.

Wraz w nominacją dopadły mnie też bardziej formalne detale tego wyróżnienia i tu zaczęły się małe schody dotyczące uroczystości wręczenia tego tytułu i zaproszenia na bal. Tak się niefortunnie złożyło, że gala przypadała na czas pobytu w Afryce, więc wypadało oficjalnie podziękować i dyplomatycznie przeprosić za nieobecność na uroczystości.

Zasiadłem do komputera i wśród odgłosów tropikalnego lasu budzącego się do życia z ostatnimi promieniami słońca zabrałem się do pisania. Już nie pamiętam, jak to brzmiało dokładnie, ale zapamiętałem uczucie i myśli, jakie chodziły mi po głowie. Tekst był krótki, bo nie było czasu na wylewność, ponieważ zaraz zamykano internetową świątynię – jedynego łącznika z krajem poza SMS-em. Brzmiało to mniej więcej tak:

Dziękuję Szanownej Kapitulie Konkursu na Pilota Roku, że wybrała moją skromną osobę jako tegorocznego laureata. Doceniam to wyróżnienie, jednak nie mogę osobiście wziąć udziału w uroczystości nadania tytułu z prozaicznego powodu: jestem z grupą w Ugandzie. W czasie, kiedy będziecie ogłaszać

laureatów, ja będę żegnał się z moją gorylą rodziną, do której zostałem właśnie przyjęty. Będę z wami na odległość na afrykańskim posterunku, gdzie rzucały mnie obowiązki.

Życzę wszystkim pozostałym nominowanym i wyróżnionym oraz całej Komisji samych sukcesów i ślę pozdrowienia z górskich okolic Bwindi, domu ostatnich górskich goryli.

Jacek Stasiński

Czas wracać do obozu, gdzie czekają kolacja, grupa i niespakowany plecak, a jutro już w drogę nad Jezioro Bunyonyi i kolejna niecodzienna historia, o której może wkrótce.

Po dawce emocji, wymianie wrażeń podczas kolacji i zimnym piwie czas na chwilę z własnymi myślami. Są tu ze mną bliscy mi ludzie, niektórych już znałem, innych miałem okazję poznać i już wiem, że mimo mojego samotniczego charakteru i wiecznego życia na walizkach będą to znajomości na dłużej niż jeden wyjazd. Połączyło nas jedno – chęć poznawania świata i dzisiejsze niezwykle wydarzenie, jakim był trekking w górach Bwindi.

Jak inni to przeżywają, mogę się tylko domyślać. Leżę już w łóżku i wciąż czuję na ramieniu dotyk goryla... Jutro już nie będę go czuł, zniknie jak poranna mgła, ale w mojej pamięci odcisnął ślad na całe życie.

Jak bardzo jest to niesamowite i abstrakcyjne, niech świadczy odpowiedź od bliskich na mój pełen emocji SMS o dzisiejszym zdarzeniu:

Nie uwierzycie, byłem dziś na trekkingu w górach i miałem okazję stanąć face to face z rodziną goryli, a na czele stada stał potężny atletyczny silverback, 230 kg, i był ode mnie tylko 5 metrów, a jego samica nawet mnie dotknęła... niesamowite przeżycie, wciąż czuję ten dotyk, pozdrawiam z Ugandy. Jacek

I odpowiedź pełna zatroskania i racjonalizmu:

Mamy nadzieję, że skończyło się na dotyku, bo przeżywasz, jakby było coś więcej... Nie zapomnij o bezpiecznym seksie... Pozdrawiamy... :)

ROZDZIAŁ 2.

WIECZOREM W TIMBUKTU

Mali brzmi egzotycznie i tak jest w rzeczywistości, ale chyba najbardziej nośne hasło w tym kraju to Timbuktu. Nawet jeśli nie kojarzy się ono konkretnie z Mali, to jest jak słowo klucz otwierające naszą wyobraźnię. Timbuktu rozbudza fantazję, kojarzy się z czymś niezwykłym, mało realnym. Jest owiane tajemnicą, czymś magicznym i niedostępnym, czymś, co jest tylko na papierze, w słowach, w opowieściach, a chciałoby się je zmaterializować, dotknąć, poczuć, posmakować, a może zrozumieć...

Ruszamy do Mali. W planach mamy nie tylko tajemnicze Timbuktu, ale również kilka dni na Nigrze, krainę Dogonów z ich kulturą i tradycjami, plemiona Fulańców, Bambara, niezwykły meczet w Djene, o czym będzie jeszcze okazja opowiedzieć.

Kraj na południe od Sahary to już tak zwana Czarna Afryka, ale ściśle powiązany kulturowo i religijnie z arabską i islamską Afryką Północną. Czy do końca to prawda?

Bamako, jak każda typowa afrykańska stolica, ma w sobie trochę nowoczesności, nieco chaosu, trudno doszukać się tu planowania, estetyki i harmonii w europejskim rozumieniu. Panuje afrykański bałagan, wszędzie afrykańskie kolorowe bazy, a prowizorkę można dostrzec na każdym kroku – coś między Stadionem Dziesięciolecia w wersji bazarowej i dawnymi „szczekami” (jeśli ktoś jeszcze pamięta) pod Pałacem Kultury i Nauki z końca lat dziewięćdziesiątych i początkiem naszego stulecia a osiedlami typu wielka płyta w miniaturze. W całej burzy jaskrawych kolorów, nada-

jących życia tej jarmarcznej metropolii, błędziliśmy po kolejnych kramach i straganach.

Okazało się jednak, że jest tutaj ukryta jakaś logika i przy bliższym przyjrzeniu się temu nawet swoisty porządek. Każdy fragment płataniny kramów, uliczek, warsztatów i sklepów nie był przypadkowy, ale stanowił uporządkowany układ, do którego kluczem była specjalizacja. Są ulice wyłącznie z odzieżą damską, ulice z odzieżą męską, inne specjalizujące się w meblach lub samych łózkach, miotłach, czy warsztaty samochodowe, wulkanizacyjne i podobne. Na jednej ulicy pracowali kowale, zdolni rzemieślnicy-magicy tworzyli cuda z niczego. Wykorzystując złom i zbędne przedmioty, tworzyli rzeczy codziennego użytku – taka manufaktura, skup odpadów i sklep z gotowymi towarami w jednym.

Z podziwem patrzyłem, jak każdy wyrzucony na śmietnik fragment metalowych przedmiotów wszelkiej maści był dokładnie rozbierany na części i na naszych oczach zamieniał się w coś pożytecznego. Tutejsi kowale od ręki wykuwali niezbędne narzędzia rolnicze, noże, tasaki, garnki i wiele innych przedmiotów. To pracownicy czarodzieje, którzy góry śmieci – towarzyszące każdemu ludzkiemu skupisku – przy użyciu miecha kowalskiego, paleniska, młota i kowadła przekształcali w dobra pożądaną na rynku.

Podobnie się działo na innych kramach, gdzie pracowali stolarze, krawcy oraz inni rzemieślnicy, a nawet artyści. W tym bałaganie powstawały nie tylko przedmioty pierwszej potrzeby, ale również sztuka użytkowa: meble, lampy, ozdoby... Prawdziwe centrum handlowo-usługowe Trzeciego Świata na wolnym powietrzu!

Było to ciekawe doświadczenie obce Europejczykowi, który idąc do sklepu, dostaje gotowy produkt najczęściej przywieziony z Chin lub innej części kraju lub świata. A tutaj mamy cały proces produkcyjny w pigułce: od pozyskania materiału do gotowego produktu.

Mogliśmy zaobserwować, jak złom zamienia się w płynny metal, z którego odlewa się na przykład sierp, a następnie podlega on procesowi obróbki. Po niedługim czasie trafia na stragan jako gotowy do sprzedaży towar. Lekcja zaradności i szacunek dla lokalnej pracy. Było spotkanie z lokalną

medycyną w wersji: magiczne specjały na różne problemy przypominające laboratorium średniowiecznego alchemika. Można by tak odkrywać kolejne zakątki i kramy, czas jednak ruszać w drogę.

Zostawiliśmy stolicę i ruszyliśmy w głąb lądu, żeby po trzech dniach egzotycznego rejsu Nigrem, trzecią największą rzeką Afryki, dotrzeć do jej północnego zakola i stąd już łądem do miejsca, które pobudzało i nadal rozbudza wyobraźnię wędrowców. I wśród nas chyba każdy, kierując się do Mali, czekał na ten moment, żeby stanąć u bram tajemniczego Timbaktu. Tu wyobraźnia miała zmierzyć się z rzeczywistością. Czy będzie szok, a potem wielki zawód? Czy tylko zwykłe rozczarowanie? A może spełnią się marzenia o magicznym orientalnym Paryżu pustyni z imponującymi budowlami jak z bajki...

Przyznam szczerze, że napięcie było tym bardziej spotęgowane, ponieważ dopiero sobie uświadomiłem, że moja wyobraźnia (a może nie tylko moja) była na tyle leniwa lub tak pozbawiona szczegółów, iż hasło Timbaktu nie przywoływało żadnego konkretnego obrazu, żadnej czytelnej wizji, tylko mgliste, rozmazane pustynne kolory, jakieś wyrwane z kontekstu, wykradzione z bazaru w Marrakeszu, Damaszku czy Kairu orientalne zapachy, wirujące w rozgrzanym powietrzu pustyni i znikające w jej piaskach, karawany, meczety i odgłosy nawoływania muezinów, a może bardziej ich echo...

Próbuję sobie przypomnieć, kiedy i gdzie dopadło mnie to magiczne słowo i zaczęło rozbudzać ciekawość i pchać podświadomie do tego odległego zakątka. Kiedy w mej duszy narodziła się chęć dotarcia tu i dlaczego?

Tak mają chyba podróżnicy wszelkiej maści i to ich łączy: pragnienie dotarcia do kolejnego miejsca. Coś gdzieś jak ziarnko piasku dostaje się do ich niespokojnych dusz i drąży, mutuje, aż wreszcie w bólu i wysiłku zamienia się w perłę spełnienia, w moment, kiedy trzeba zmierzyć się z rzeczywistością.

Czy było to oglądanie map w dzieciństwie i tam pierwszy raz zabrzmiało w uszach Timbaktu wypowiedziane głośno, czy w kompletnej ciszy bezgłośnie dostało się do mej dziecięcej wyobraźni jak zaklęcie? Czy był

to niezwykle drogowskaz wypatrzony w innym magicznym mieście afrykańskiego orientu – Marrakeszu. Gdzieś przy wyjeździe z miasta prowokował drogowskaz nierealny jak fatamorgana z napisem: Timbuktu 1727 km! Wygląda bardziej jak data niż odległość, tak czy inaczej informacja, którą odczytałem, widząc wtedy tylko piasek pustyni po horyzont, brzmiała jak nieskończoność – coś, co może istnieje, a może jest tylko legendą.

Na myśl, że moment konfrontacji się zbliża, mantra: Timbuktu, Timbuktu, Timbuktu coraz głośniejsze rozbrzmiewa w duszy, a serce bije mocniej. Podróżnicy wiedzą, o czym piszę. Tym, którzy tego nie czują, może przytoczę inne porównania – to jak ostatnie metry w biegu maratońskim, gdzie zostaje tylko okrążenie stadionu, a przed tobą widać już zbliżającą się linię mety; jak ostatnie chwile przed lądowaniem, kiedy samolot ma za chwilę dotknąć ziemi; jak szampan, który właśnie się otwiera z hukiem, a zaraz poleje się strugą do kieliszków i poczujemy jego smak; i wreszcie jak kostka czekolady z łamanej właśnie tabliczki, która za chwilę rozpułynie się w naszych ustach. Dość już porównań :)

Mamy nazwę na nieokreślone miejsce zawarte w powiedzeniu: „Pisz na Berdyczów”, czyli wyślij, a na pewno nigdy nie dotrze do adresata, zaginie gdzieś po drodze, pochłonie to czarna dziura. Angielskim odpowiednikiem tego powiedzenia jest właśnie: „Adresuj na Timbuktu... a nigdy się nie doczekasz”.

Tak przy okazji nasuwa się pytanie, czy jest tam w ogóle jakaś poczta i jakiś realny adres, czy to zaginione, zapomniane przez karawany miasto zasypane przez piaski Sahary, czy tylko nazwa na mapie, drogowskaz na pustkowiu, samotna chata lub namiot nomadów przy skromnej oazie. Co zostało z tego kiedyś ważnego ośrodka handlowego, ale i centrum kultury oraz prężnego ośrodka uniwersyteckiego ówczesnego świata arabskiego, które wymieniało się wiedzą i nowinkami z takimi wielkimi ośrodkami nauki w średniowieczu jak Kordoba czy Bagdad.

W średniowieczu Timbuktu to nie tylko egzotyczna nazwa i punkt na mapie na południe od Sahary gdzieś w głębi zachodniej Afryki, ale również ważny partner w wymianie myśli i wiedzy, centrum dyskusji filozoficz-

nych. Tutejsza biblioteka to saharyjski odpowiednik starożytnej Biblioteki Aleksandryjskiej i skarbnica wiedzy pisanej. To tyle, jeśli chodzi o historię tego miejsca.

Żyjemy w dobie Internetu, Facebooka i tym podobnych, a Timbuktu jest odporne na nowinki, portale i całą wirtualną rzeczywistość na czele z Wikipedią. Chroni swej tajemnicy i reputacji miasta widma dość skutecznie. Podobno można tu dolecieć z Bamako, ale my wybieramy bardziej klasyczną i egzotyczną drogę rzeczną: rejs Nigrem. Już rejs sam w sobie jest niepowtarzalną przygodą, a to tylko środek do celu, jakim jest dla nas owiane tajemnicą i drażące wyobraźnię Timbuktu.

Dopływamy do zakola Nigru późnym popołudniem i zanim dotrzemy do granic miasta, słońce zacznie chować się za horyzontem. Sceneria, jak przystało na Timbuktu, jest magiczna, dziwnie zatopione w czerwieni zachodzącego słońca miasto albo osada, bo tej miejscowości trudno się doszukać, kiedy jedziemy do naszego hoteliku pustynną piaszczystą drogą. Mam wrażenie, jakbyśmy przenieśli się w czasie, a zamiast samochodów zaraz na ulicach pojawią się karawany wielbłądów – niosących na swych grzbietach bogactwa rodem z Arabii: cenne wonności, perskie dywany, ceramikę – zmierzające na miejski bazar, aby wymienić je za złoto z kopalni władców Aszanti (obecnej Ghany), kość słoniową czy czarnych niewolników.

Docieramy do hoteliku, który przypomina zagubiony na pustyni karawan-seraj. Z zewnątrz ma wręcz charakter obronny, ale w środku jest już bardziej przytulny z sympatycznym patio i namiotem, gdzie można się wygodnie rozłożyć i zakosztować błogiego relaksu w towarzystwie pary gazeli.

Po trudach podróży postanawiamy zakotwiczyć się w orientalnym namiocie gościnnym, gdzie na wygodnych poduszkach raczymy się pustynną, muzułmańską whisky, czyli lokalnym naparem z herbaty i ziół, głównie mięty. Jest błogo i leniwie, a sielankę przerywają miejscowi bywalcy zajazdu, którzy, jak na ludzi pustyni przystało biegli w sztuce negocjacji, wpadli, aby sprzedać kilka przedmiotów nowym gościom.

Nie ma tu tłumów turystów, co jest przywilejem i nagrodą po trudach trzydniowego rejsu rzeką, gdzie można odetchnąć w chłodnym patio z per-

spektywą prysznic i domowej kolacji. Rejs, poza wschodami i zachodami słońca, licznym wodnym ptactwem i nielicznymi hipopotamami, glinianymi domostwami mijanych przybrzeżnych wiosek Fulani czy innych ludów, daleki był od luksusów. Odpoczęliśmy też od klasycznej turystyki: wycieczek, hoteli, straganów z pamiątkami. Poczuliśmy się jak pierwsi biali odkrywcy na Czarnym Łądzie, penetrujący te okolice. Tradycja handlu jest jednak tak silna, że jak każdy przyjezdny stajemy się partnerami w wymianie handlowej. Im bardziej egzotyczny partner, tym apetyty miejscowych rosną. Jest też druga strona medalu – nie ma konkurencji i nie można się wykić, cóż, jesteście łatwym i jedynym łupem...

Jesteśmy dość odporni na zakupowe zaczepki, ale to jeszcze bardziej nakręca sprzedawców do działania. Kiedy napięcie zaczyna grozić wybuchem emocji z rękoczynami włącznie, integrację kupiecką przerywają odgłosy z kuchni, że już czas na zasłużoną kolację. Uff... Chwila wytchnienia od dość natrętnych saharyjskich komiwojażerów. Pewnie równie dobrze sprzedawałoby odkurzacze czy kosmetyki. Sztuki handlu i negocjacji uczyli się w praktyce, ale mogliby uczyć wszelkich negocjacyjnych chwytów z marketingu sprzedaży w dużych korporacjach jako dużej klasy specjaliści praktycy.

Tutaj handluje się lokalną biżuterią i innymi przedmiotami od amuletów czy białej broni począwszy, po praktyczne dla nich jedynie atrakcyjne kubłaki z koziej skóry na wodę (może być też na wino, ale w tych okolicach to abstrakcja). Trudno rozpoznać, czy przedmioty te mają cokolwiek wspólnego z tajemniczymi jak samo Timbaktu rycerzami pustyni – Tuaregami, czy nie. „Wyroby Tuaregów” to dobre hasło marketingowe, wielokrotnie już sprawdzone na naiwnych białych przybyszach szukających czegoś wyjątkowego.

Idziemy pospiesznie splukać z siebie piaski znad Nigru zebrane przez kilka dni podróży, a potem jak szejkwowie zasiadamy do stołu ulokowanego w hotelowym ogrodzie pod rozgwieżdżonym niebem Sahary. Jest skromnie, ale uroczo. Proste dania smakują jak wykwintne potrawy podczas uczyty u sułtana. To chyba miejsce tak nastraja, bo czujemy się jak w baśni o Szeherazadzie, a przy stole siedzi kilka kobiet. Ciekaw jestem, która aspiruje

do tego tytułu... My możemy zabawić się w Sindbada... a może w Lawrenca z Arabii. Atmosfery magii dopełniają gazy. To samiec i samiczka, które są równie towarzyskie jak kupcy i gospodarze, a jednocześnie dystyngowane, jakby jeszcze wczoraj przechadzały się po ogrodach sułtana, i dumne jak wojownicy pustyni.

Po kolacji czas na relaks, bo nazajróż wreszcie staniemy twarzą w twarz z prawdziwym Timbuktu i tym, co w sobie kryje. Cisza i rozgwieżdżone niebo po raz kolejny pobudzają wyobraźnię. Powieki jednak powoli przenoszą nas w krainę marzeń i zanim opadną, można sobie wyobrazić to miejsce tak, jakbyśmy chcieli je zobaczyć.

Wstajemy niespiesznie, bo od samego rana już czujemy, choć kiedyś Niger dochodził do granic miasta, że jesteśmy na największej pustyni, a piaski Sahary wdzierają się z lekkimi powiewami pustynnego wiatru do domostw, więc i na naszym hotelowym dziedzińcu w drodze na śniadanie też widzimy rudo-pomarańczowy pustynny pył. Posiłek był bez rewelacji, ot coś, aby głodnym nie ruszyć w miasto. A ponieważ dawna kolonia francuska, też śniadanie jest dżemowo-słodkie bez śladu bekonu czy jajecznic, i jest jak najbardziej na miejscu w tym klimacie. Jest listopad, a już od rana upalnie jak w piekle. Miało być magicznie, ale nie piekielnie... Cóż, klimat sam pisze scenariusz. Nie pyta nas o zdanie, a my też nie pytamy o zgodę, tylko zaraz po śniadaniu ruszamy w miasto.

Od początku czekają nas niespodzianki: oglądamy słynny Meczet Piątkowy, przykład sudańskiej architektury sakralnej, wieże z gliny, przypominające amatorskie próby kopiowania dzieła Gaudiego słynnej Sagrada Família w Barcelonie, i jak barcelońskie dzieło w towarzystwie dźwigów i rusztowań. Tutaj podobnie – wszystko pokryte ostrogami drewnianego szkieletu, który poza podstawowym przeznaczeniem utrzymania konstrukcji spełnia też funkcję stałych rusztowań, ponieważ glinianą konstrukcję trzeba systematycznie odnawiać i uzupełniać, choć opadów jest tu niewiele, więc i naprawy nie muszą być częste.

Meczet ma trochę obronny charakter. Przypomina pustynne kazby z Omanu czy gór Atlasu w Maroku. Niestety spotyka nas pierwsze niepo-

wodzenie w odkrywaniu magii miasta: wejście do budowli jest zamknięte dla obcych, mimo że obiekt znajduje się na liście światowego dziedzictwa UNESCO, jak jeszcze kilka innych (jak się później okazało, kolejne też były niedostępne). Wędrujemy krętymi uliczkami Medyny (tak określa się starą dzielnicę arabskich miast, zwłaszcza w Afryce Północnej) i na każdym kroku czekają nas niespodzianki. Miasto nie przypomina ani Marrakeszu, ani innej większej metropolii świata orientu o znaczeniu symbolicznym, jak: Tunis, Istambuł, Kair, Isfahan czy Samarkanda. Timbuktu bardziej kojarzy się z zagubioną na pustyni oazą, gdzie na ulice bez pardonu wdziera się Sahara, zasypując piaskiem chodniki, domostwa i stragany. Czerwonawy odcień piachu zaczyna być znakiem rozpoznawczym tego miejsca.

Przed nami kolejny ciekawy zabytkowy meczet i medresa na szlaku spiesznie zamykana na widok obcych. Pędzimy jak gorliwi muzułmanie spragnieni modlitwy, a tak naprawdę głodni zrobienia zdjęcia we wnętrzu. Niestety tylko najszybszym udaje się cokolwiek zobaczyć przy wrogich okrzykach miejscowych strażników. Próby dyplomatycznego rozwiązania sprawy, negocjacji czy nawet drobnego przekupstwa nieestety kończą się fiaskiem mimo serdecznego nastawienia. Staramy się trzymać emocje na wodzy, co nie jest takie proste, wzięwszy pod uwagę skumulowane emocje w podróżniczych duszach i apetyt, jaki nam towarzyszył już od rana na myśl o poznawaniu miasta. Chyba jednak nie uda nam się nic wskórać.

Pozostaje więc zaglądnąć na podwórka, place, zakamarki, sycąc wzrok lokalnymi pejzażami albo spieszne utrwalanie w postaci zdjęć. Nie każdy tutejszy mieszkaniec chce być uwieczniony na fotografiach, jedynie dzieci chętnie pozują do sesji foto. Czasem też grupki mężczyzn leniwie ukrytych w cieniu, czekających na jakieś uliczne atrakcje lub wieczorny chłód, zgoda się na zdjęcie. Kobiety generalnie są zapracowane, ale uważne na każdy ruch aparatu i przy każdej próbie dokumentacji zręcznie się chowają, przy okazji ostentacyjnie wyrażając dezaprobatę i niechęć do zrobienia kariery fotomodelki. Nie dotarła tu jeszcze moda na ekshibicjonizm w wersji Big Brother, „Taniec z Gwiazdami” czy inny talent show.

Na otarcie łez pozostaje równie słynna w dawnych czasach biblioteka w Timbuktu, nigdy nie zniszczona jak jej bardziej znany egipski odpowiednik w Aleksandrii. Recz jasna, że przedziały czasowe inne, ale obie posiadały imponujące zbiory w czasach swej świetności. Tą w Aleksandrii spalili greccy najeźdźcy, niszcząc cenne zbiory, natomiast zagubiona wśród piasków Sahary biblioteka w Timbuktu miała więcej szczęścia.

Po pierwsze przez miasto nie przetoczyły się żadne większe wojenne zawieruchy (choć dwa razy w historii miasto było atakowane: w 1591 przez Morysków na usługach sułtana Maroka i w 1893 przez kolonizujące te tereny wojska francuskie), a po drugie, co równie ważne, pustynny klimat tak niekorzystny dla egzystencji jej mieszkańców stał się bardzo łaskawy dla książek przechowywanych w miejscowej bibliotece. To, co jest największym wrogiem książek, czyli wilgoć i grzyb, tu jest raczej zjawiskiem rzadkim. Dzięki temu zachowało się sporo białych kruków pamiętających jeszcze na przykład kalifat kordobański i okres, kiedy większość Półwyspu Iberyjskiego była we władaniu Maurów. Kalifat kordobański był w owym czasie silnym ośrodkiem władzy, a sama Kordoba (dziś historyczne, uroczyste miasto w hiszpańskiej Andaluzji, nie żadna metropolia) ważnym ośrodkiem naukowym i siedzibą najważniejszego, jeśli nie jedyne, uniwersytetu ówczesnej Europy.

Zaczynamy nasz spacer po bibliotece od starego budynku, gdzie w ciasnych, nieciekawych pomieszczeniach przechowywanych jest sporo książek głównie o tematyce religijnej, filozoficznej czy medycznej z różnych zakątków ówczesnego świata arabskiego, którego religia i kultura od ósmego wieku w ciągu następnych 200 lat z Półwyspu Arabskiego eksplodowały na całą Azję Mniejszą, Afrykę Północną, dotarł nawet do Chin, Indii i na Półwysep Iberyjski, czyli do Europy. Mimo mało reprezentacyjnych pomieszczeń w starej części zbiory robią wrażenie: księgi z VIII, IX wieku, średniowieczna wiedza medyczna z XII wieku czy kodeksy prawne sięgające głębokiego średniowiecza. Stary budynek jest jak kurz po odchodzącej karawanie, za chwilę go już nie będzie. Czy tak ma też skończyć cenny księgozbiór, pogrążając się w piaskach pustyni jak całe miasto?

I tu niespodzianka! Jest już nowy budynek biblioteki sąsiadujący z tym, który odwiedzamy. Mało tego, ma wszystkie technologie i nowinki techniczne na światowym poziomie. Wyraźnie widać już XXI wiek w dziedzinie konserwacji i zabezpieczeń cennych zbiorów dla przyszłych pokoleń. Wszystko dzięki projektowi finansowanemu przez RPA pod hasłem: „Operation Timbuktu”. Nowy obiekt powstaje dla Instytutu Ahmeda Baby. Pomoc w rozbudowie biblioteki zaoferowały też USA i Norwegia. Obecny zbiór liczy 150 tys. manuskryptów (podobno kolejne kilka, a może nawet kilkanaście tysięcy ukrywają piaski pustyni, bo zostały ukryte podczas najazdu Morysków oraz wojsk francuskich i ślad po nich zaginął). Każdy egzemplarz jest odpowiednio skatalogowany i zabezpieczony jak przysłowiowe depozyty w bankach szwajcarskich, więc miłośnicy książek zaniepokojeni stanem księgozbiorów w Timbuktu mogą spać spokojnie, bo w zakresie zabezpieczeń technicznych księgozbiorów zachowane są najwyższe standardy. Największym wrogiem może być niestabilna sytuacja polityczna i walki wewnętrzne.

Niedawno upadający reżim Kadafiego w Libii spowodował, że dawni żołnierze dyktatora, obecnie bezrobotni, zajmują się na napadami, porwaniami i innymi zbójnickimi zajęciami na terenach, które trudno kontrolować, ponieważ to środek pustyni, setki, a nawet tysiące kilometrów od dużych ośrodków miejskich, czyli miejsc, gdzie wojsko i policja kontrolują sytuację. Właściwie granice na pustyni są bardzo umowne, wyznaczone na mapie bez żadnych specjalnych punktów odniesienia, bez jakiegoś klucza. Niger, Mali, Algieria czy Libia nie mają konfliktów granicznych, bo są to głównie niezaludnione pustkowia, gdzie nawet zwierzęta i rośliny codziennie walczą o przetrwanie.

To królestwo ludów pustyni, ojczyzna Tuaregów, dla których przynależność państwowa jest drugoplanowa i nieistotna, ważniejsze są tu więzy plemienne i klanowe. Pustynia jest ich krajem, Sahara domem, a karawana i nieustanne przemierzanie szlaków to ich codzienność i żywioł.

Oddaliliśmy się zaledwie kilkanaście kilometrów od nurtu Nigru, a jesteśmy zupełnie w innym świecie. Rytm życia miasta i ludzi wyznacza czas,

kiedy wyrusza i kiedy wraca karawana. Wydarzenia w mieście też są temu czasowi podporządkowane, nawet śluby i inne ważne rodzinne wydarzenia są od niego uzależnione.

I tu rzeczywiście żyje się jak przed wiekami, ponieważ nie stacje benzynowe, motele przy autostradach czy lotniska, ale starożytne szlaki karawan i oazy na ich trasach są wyznacznikiem relacji i powiązań. Wciąż tutaj czas płynie jak przed wiekami, a spotkania i odwiedziny liczy się nie w godzinach, ale w tygodniach. Nie samoloty czy potężne i szybkie krążowniki szos w wersji osobowej czy towarowej, ale wielbłądy wyznaczają tempo podróży. Nie ma więc mowy o superekspresowych dalekobieżnych busach czy błyskawicznym transporcie towarów przez nowoczesną flotę na kołach. Owszem, w mieście jest lotnisko, asfaltowa droga do miasta, ale już na jego obrzeżach widać, że cywilizacja musiała się podporządkować przyrodzie, a pustynia jest jedyną władczynią i rządzi tu niepodzielnie i despotycznie. Należy się podporządkować i stosować do jej zasad, bo jeśli zechcemy się sprzeciwić panującym regułom, czeka nas niechybna śmierć. Brzmi groźnie, ale to nie strachy na lachy, tylko codzienna rzeczywistość. Pustynia jest jak dobra i hojna matka, ale bywa zaborcza i bezwzględna jak kochanka, jeśli chcesz ją zdradzić lub zignorować.

My, Europejczycy, wyrwani przez cywilizację i zdobycze techniki z bliskiej relacji z przyrodą, często zapominamy o groźnych skutkach, jakie to może przynieść, a brak pokory i buta często właśnie w takich miejscach powodują, że kończy się to tragicznie. Nawet ślady po dramatycznych przypadkach zamazał czas i piach pustyni, bo jeśli coś już się zdarzyło, zostało na zawsze otulone jej piaskami i jedynie strzępy informacji, niekompletne dzienniki wypraw czy mgliste wspomnienia podróżników, którzy przeżyli, dają jakiś obraz tych wydarzeń.

Miasto, mimo że owiane legendą o bogactwach, nie powstało w starożytności, jak niektórzy przypuszczają, ale w XII wieku i dość szybko stało się ważnym miejscem na mapie Afryki. Europejczycy docierali tu bardzo rzadko, a ich opowieści rozpałały wyobraźnię kolejnych pokoleń o niezwykłym miejscu w sercu Sahary. Dotarł tu Leon Afrykański, Genuńczyk Benedetto

Dei i Muhammad Ibn Battuta i to ich opowieści stały się początkiem tej legendy jak pamiętniki Marco Polo o Chinach.

O ile do Chin Europejczycy, a dokładnie żeglarze portugalscy, dotarli dużo wcześniej, bo już w XVI wieku, to Timbaktu zostało legendarnym miastem cudów aż do początków XIX wieku. Wybrzeże Afryki jako jedno z pierwszych najpierw spenetrowali w XV wieku Portugalczycy, szukający jak inni morskiej drogi do Indii. Na wybrzeżu Afryki zachodniej budowali forty i posuwając się coraz dalej na południe i wschód, dotarli do Przylądka Dobrej Nadziei, a wreszcie do wybrzeży Indii, gdzie zakładali portugalskie enklawy na Goa. Za nimi w kolejnych wiekach ruszyli Holendrzy, Francuzi i Anglicy.

Ta penetracja wybrzeża, zakładanie fortów i wymiana handlowa drogą morską stały się końcem złotego wieku i rozkwitu miasta jako centrum karawan i mostu łączącego Czarną Afrykę z krajami orientu i pośrednio Europą. W czasach rozkwitu (XIV–XV w.) na uniwersytecie w Timbaktu kształciło się 25 tys. studentów (tytu, ilu ówczesny Londyn miał mieszkańców – dla porównania w Krakowie mieszkało wówczas 15 tys. osób).

Dopiero wiek XIX był stuleciem, kiedy jako ostatni zaludniony kontynent zaczęto badać i poznawać wewnątrz Afryki. Pewnie będzie okazja o tym w innych miejscach napisać, tu pozostanę przy Timbaktu i jego odnalezionej historii.

Pierwszym białym człowiekiem w XIX wieku, który dotarł w rejon Timbaktu, był Brytyjczyk Alexander Gordon Laing i to on mógłby stać się pierwowzorem Lawrence'a z Arabii. Ruszając z Trypolis, słyszał o tym mieście jako miejscu niedostępnym i tajemniczym, a ponieważ miał duszę podróżnika, mimo przeciwności po wielu przygodach i ledwo uchodząc z życiem latem 1826 roku, przemierzając Saharę z północy na południe, szlakiem karawan dotarł do upragnionego celu. Spędził tu 38 dni, poznając lokalne władze i ludzi, nawiązując relacje, ale jak się później okazało, nie dość silne, żeby szczęśliwie dotrzeć do domu. Został zamordowany prawdopodobnie przez własnych przewodników zaledwie dzień drogi od miasta, choć szczegóły jego śmierci są tylko hipotetyczne, bo nie zachowały się potwierdzone

dokumenty o tym zdarzeniu. Brak znajomości obyczajów i religii, a może zwyczajna chciwość miejscowych poganiaczy wielbłądów stała się kresem nie tylko podróży, ale również życia angielskiego oficera.

Gdy patrzę na twarze strażników meczetów, odnoszę wrażenie, jakby od 200 lat niewiele się tu zmieniło i kto wie, czy nie skończyłbym jak ów szkocki podróżnik zdany na łaskę lokalnych układów i zależności, gdybym planował zostać dłużej. Nie mam jednak zamiaru tego weryfikować i zgodnie z planem nazajutrz z całą naszą kameralną grupą opuścimy miasto i udamy się w kierunku płaskowyżu zamieszkałego przez Dogonów. Ale to już zupełnie inna historia. Zostańmy jeszcze na chwilę przy XIX-wiecznych odkrywcach Timbaktu.

Więcej szczęścia w tym miejscu miał francuski podróżnik René-Auguste Caillié. To barwna postać. Syn piekarza, bez gruntownego wykształcenia, ale marzyciel. Jest przykładem, że wielka pasja poparta determinacją wystarczy, aby spełniać marzenia. Młody René w wieku 17 lat zaciągnął się na statek i dotarł do Senegalu, gdzie po wielu perypetiach – zachęcony przez Francuskie Towarzystwo Geograficzne, które w 1825 roku wyznaczyło nagrodę 10 tys. franków dla śmiałka, który dotrze i wróci z legendarnego Timbaktu oraz zda pisemną relację z tego miejsca – ruszył w drogę.

28-letni René w 1827 roku drogą wodną na pokładzie rzeczno-statku handlowego dotarł do Kabary, wówczas portowego przedmieścia Timbaktu. Zanim jednak tu przybył, udając egipskiego kupca, wcześniej penetrował Mauretanię, gdzie uczył się zarówno arabskiego, jak i islamu, mieszkając jakiś czas wśród lokalnych plemion. To przygotowanie, i językowe, i kulturowo-religijne, pomogło mu się odnaleźć i przetrwać wśród dość wrogo nastawionych do obcych mieszkańców Timbaktu i odwiedzających go wojowniczych Tuaregów. Nie tylko tu dotarł i przeżył, ale i wraz z jedną z niewolniczych karawan przemierzył pustynię i dotarł do Tangeru, a potem do Francji. Zgarnął nie tylko obiecaną nagrodę, ale również został członkiem Legii Honorowej.

Pisał jednak we wspomnieniach, że miasto go rozczarowało i nie zastał niczego z wcześniejszego splendoru pustynnej metropolii, a jedynie pro-

wincjonalne zaniedbane miasteczko bez szczególnego uroku czy rozmachu, dlatego nie zabawił tam długo w obawie przed kolejnymi chorobami (a nabawił się i malarii, i gruźlicy). Jak się potem okazało, wysiłek i choroby, jakie towarzyszyły mu podczas tej wyprawy, jedenaście lat później stały się przyczyną śmierci podróżnika. Zmarł na gruźlicę we Francji w 1838 roku.

Kolejnym Europejczykiem był znany niemiecki naukowiec i podróżnik Heinrich Barth, gruntownie wykształcony na Uniwersytecie Humbolta w Berlinie, a potem studiujący arabistykę w Londynie. Wyruszył do Północnej Afryki i niezbadanych rejonów obecnej Nigerii czy Kamerunu. Bez trudu dotarł również do tego niezwykłego miejsca na północ od Nigru bogatszy o relacje podróżnika René Caillié i był pierwszym po Francuzie, który mógł potwierdzić jego przekaz jako wiarygodny i rzetelny. Badacz zamieszkał w Timbuktu w latach 1853–1854. Po powrocie do Berlina opisał swoje przeżycia z pobytu.

Kiedy włączymy się po zaułkach Timbuktu, napotykamy ślady wspomnianych podróżników. Znajdują się tablice informujące o ich obecności w mieście, zachował się dom, gdzie mieszkał Laing, są też informacje o dwóch kolejnych białych śmiałkach. Ich historie uświadamiają nam, że nie jesteśmy tu zbyt pożądanymi, a jedynie średnio tolerowanymi przybyszami. Mam wrażenie, słysząc kolejną historię o białych przybyszach w Timbuktu, że teraz wcale nie jest lepiej, a spojrzenia Tuaregów są dość czytelne. „Nie rób nic, czym możesz nam się narazić, a damy ci spokój, i nie zostawaj za długo, bo możemy zmienić zdanie!”.

Słońce już wysoko i zaczyna się wczesne popołudnie, więc skwar kieruje nas na południową sjęstę. Nie ma jednak odpoczynku, bo handel odbywa się na całego. Hotelowy Tuareg zabiera nas do swojego namiotu, tuż obok hotelu, pod pretekstem napicia się lokalnej herbaty, ale... głównie po to, żeby nam pokazać, co ma jeszcze do sprzedania.

Jest barwnie i miło do momentu, kiedy niektórzy z naszej grupy zaczynają dobijać targów i – jak się okazuje – są równie wytrawnymi negocjatorami jak tubylcy. Piję spokojnie herbatę z miętą, mocną, ale gasi pragnienie, i przypatruję się tej licytacji, gotowy w każdej chwili nieść pomoc w kry-

tycznym momencie. Napięcie negocjacyjne sięga zenitu, ale dzięki Bogu czas na popołudniowy program, czyli przejazd na wielbłądach, aby obejrzeć zachód słońca, i integracja na pustyni z miejscowymi Tuaregami. Jest wczesny wieczór, więc temperatura jest znośna, tylko nie każdy z naszej małej grupy siedział wcześniej na wielbłądzie. A zatem szybki kurs obsługi, a dla pewności przewodnik, który będzie prowadził zwierzę, ośmiela niezdecydowanych, ale i tak kilka osób nie decyduje się na pustynną przygodę karawaną i do wioski Tuaregów rusza jeepem... Ci, co pozostali na wielbłądach, zachowując szacunek miejscowych, docierają na czas, to znaczy na zachód słońca.

Podczas przejażdżki nawiązują się handlowe znajomości i każdy prowadzący zwierzę zachwala swoje towary poupychane po kieszeniach, ale pełna prezentacja nastąpi przy ognisku po pokazie lokalnych tańców. Wówczas każdy właściciel wielbłąda na chuście rozkłada swój kram i trudno już zrezygnować z zakupów – jeden zbiera na prezent weselny, inny na podróż do rodziny, kolejny na dzieci lub wielbłąda. Zachowujemy się przyzwoicie i jak na gości przystało, kupujemy choć po małym drobiazgu od każdego, żeby nikogo nie pominąć czy urazić... a potem szybko do jeepów i w drogę powrotną, bo inaczej wydalibyśmy wszystkie oszczędności na lokalną biżuterię i białą broń, niekoniecznie jej potrzebując!

Trochę to wszystko pod turystów, choć miejsce jeszcze niezepsute tak zwaną masową turystyką, więc mamy mieszane uczucia, patrząc na tańce i pokazy, natomiast najcenniejszy jest bezpośredni kontakt z ludźmi pustyni, którzy po zawartych transakcjach z obcymi i podreperowaniu domowego budżetu otwierają się na rozmowę. Są wtedy bardziej chętni do bliższego poznania się, opowiadają o tym, jak wygląda ich dzień powszedni, czym się interesują, jak spędzają czas pomiędzy powrotem karawany i kolejnym wypłynięciem na morze piasku. Ci żeglarze pustyni są zwykłymi wesołymi ludźmi z pasjami i problemami. To nie ludzie widma jak pustynna fatamorgana, ale z krwi i kości, spontaniczni, serdeczni i z gruntu optymistyczni mimo trudności życia w tym niezwykłym miejscu w sercu pustyni.

Wspólne rozmowy ośmieliły mnie do tego stopnia, że powstał w mojej głowie dość ryzykowny, ale bardzo ekscytujący plan. Zapragnąłem, jak pierwsi Europejczycy, którzy tu dotarli, poznać bardziej autentyczne oblicze Timbaktu, prawdziwsze, dla nas właściwie niedostępne, spróbować wtopić się w tłum mieszkańców, wejść w tutejszą rzeczywistość i spojrzeć na Timbaktu z perspektywy tubylca.

Jeszcze w drodze do hotelu zatrzymaliśmy się przy ważnym miejscu, choć to żaden zabytek z listy UNESCO (miasto wpisano na listę dziedzictwa kulturowego jako kompleks religijny i miejsce o wielkim znaczeniu kulturowym. Działali tu mędrcy suficy, poeci – ochroną objęto ich mauzolea, 17 grobowców, medresy, gdzie nauczali, meczety w charakterystycznym dla Sahelu stylu), nie żadna niezwykła magiczna budowla orientalna, raczej coś banalnego, ale o dużym znaczeniu emocjonalnym i symbolicznym – lokalnym budynku poczty... Tak, jest tu poczta i pewnie działa, a jak już się wkrótce okaże, bo mam zamiar właśnie stąd wysłać kartkę do znajomych. Kartka z miejsca, którego realność podważali Anglicy, używając zwrotu: „adresuj na Timbaktu”, czyli donikąd, stawiając pod znakiem zapytania istnienie nie tylko miasta, ale tym bardziej placówki pocztowej, to będzie coś. Budynek stoi jak gdyby nigdy nic na głównej ulicy i wygląda na to, że funkcjonuje, a zatem będzie okazja wysłać kartkę do dalekiej Polski. Powoli wracaliśmy, ponieważ już zmierzchało, więc i poczta już nie działała, ale – jak zapewnił kierowca – jest czynna w określonych godzinach. A więc czemu nie wierzyć? Jutro ruszamy wcześniej, więc o wysłanie kartki poproszę lokalnego kierowcę. Tę zagadkę rozwiązaliśmy i obaliliśmy mit, że nawet jeśli jest gdzieś Timbaktu, to na pewno nie ma poczty i wysłanie czegoś stamtąd to strata czasu i pieniędzy.

Nadszedł czas na bardziej niebezpieczne zadanie – dotrzeć do Meczetu Piątkowego, o trudnej do wymówienia lokalnej nazwie Djinguereber, podczas wieczornej modlitwy i wejść do środka, żeby zobaczyć, czego tak skrupulatnie strzegą miejscowi przed oczami obcych. I podobnie jak przy samym Timbaktu zadziałała wyobraźnia... Czego mistycznego i niezwykłego można się tam spodziewać? I czy w ogóle uda się tam dostać, a jeśli tak, czy

będzie to łatwe i proste, a może skończy się skandalem czy innymi konsekwencjami? Wszyscy z grupy podróżników pewnie o tym myśleli, ale chyba nikt nie wpadł na tak diabelski pomysł jak ja.

Meczet jest jednym z najstarszych w Afryce zachodniej i powstał na polecenie Mansa Musu, kiedy odwiedził miasto podczas drogi powrotnej z jego legendarnej pielgrzymki do Mekki. Przy tej okazji warto wspomnieć o fundatorze meczetu, bo to postać równie niezwykła jak samo Timbuktu.

Mansa Kankana Musa rządził imperium Mali w latach 1312–1337 i jego imperium obejmowało tereny obecnego Mali Senegalu Mauretanii, Gwinei Bissau, Gambii i Burkina Faso. Tytuł Mansa nosili władcy Mali do końca XVI w., kiedy królestwo i dynastia upadły po najeździe sułtana Mansura. W czasach swego panowania kontrolował ponad 50 procent wydobycia najcenniejszych w tym czasie minerałów: soli i złota. Do dziś, choć mało znany szerszemu gronu, uważany jest za jednego z najbogatszych ludzi wszech czasów, a niektórzy próbują oszacować jego majątek i jeśli im wierzyć, to kwota 450 miliardów dolarów (inni twierdzą, że to cyfry niedoszacowane i był jeszcze większy).

Faktem jest, że jego pielgrzymka do Mekki była czymś, o czym pisały i opowiadały pokolenia. Zabrał na nią 60-tysięczną świtę, w tym 12 tys. niewolników ze skrzyniami pełnymi złota, i ponad 80 wielbłądów objuczonych złotem. Jego postój w Kairze doprowadził do gigantycznej kilkunastoletniej inflacji w imperium Mameluków. To bogactwo i mecenat nauki oraz lokalnych uniwersytetów stały się początkiem legendy Timbuktu.

Meczet Piątkowy powstał gigantycznym na owe czasy kosztem 200 kg złota. Chciałem zobaczyć, co zostało do naszych czasów po tej wspaniałej budowlu, która dotrwała prawie niezmienną.

Skąd wziął się ten pomysł? Wpadłem na to spontanicznie podczas spaceru po zabytkowym centrum miasta i sukach z lokalnymi produktami. Na jednym z fotograficznych postojów, kiedy słońce było już wysoko i zaczynało coraz bardziej dokuczać, lokalni sprzedawcy zauważyli nasze umęczenie słonecznym żarem i zaproponowali zakup chust jako nakrycia głowy. Aby zachęcić uczestników grupy do ich kupienia, zrobili nawet prezentację

wiązania ich na głowie. Miały one ochronić nas przed słońcem, jak chro-
nią miejscowych. Każdy Tuareg potrafi zawiązać chustę jak każdy facet
powinien umieć wiązać krawat. Mnie, jako lidera grupy, wzięto na pierw-
szy ogień, a więc posłużyłem za modela, na którym prezentowano techniki
wiązania i... efekt był tak udany, że zarówno miejscowi, jak reszta grupy
stwierdzili, że w tym nakryciu niczym się nie różnię od Tuarega i spokojnie
mogę się tu zasymilować.

I wówczas, na początku jako żart, zakiełkował pomysł, aby chustę wyko-
rzystać w praktyce. Ta myśl dojrzewała cały dzień, aż wreszcie, po zacho-
dzie słońca, zapadła decyzja: Ruszam do meczetu. Tylko jak to zrobić? Szyb-
ka indywidualna burza mózgu i był już gotowy plan. W drodze do hotelu,
po wyprawie na pustynię do Tuaregów, poprosiłem kierowcę, aby poczekał
na mnie przed hotelem. Wytłumaczyłem mu, że muszę się ubrać i na chwilę
chcę pojechać do starej części miasta. Zapytałem, czy może mi towarzyszyć.
Drobna zapłata go przekonała i zgodził się poczekać, choć nie podejrzewał,
co planuję, bo pewnie byłby przeciwny. Szybko zaczynam wcielać w życie
tajny plan w hotelowym pokoiku: szukam odpowiedniego stroju i chusty,
i w pięć minut jestem gotowy zostać lokalnym muzułmaninem przygoto-
wym na wizytę w meczecie w czasie wieczornej modlitwy.

Wsiadam do auta i ruszamy – oficjalnie, żeby zrobić zdjęcia: zmierzch
nad Timbuktu. Tę wersję przedstawiam też przewodnikowi, kierowcy każe
zatrzymać się na jednym z głównych placów dość blisko głównego meczetu
miasta. Ustaliłem, że ma tu na mnie czekać około trzydziestu minut i pod
żadnym pozorem nie ruszać się z miejsca, a jeśli mnie nie będzie trochę
dłużej, ma podejść w okolice meczetu i tam mnie szukać. Miałem tam robić
zdjęcia obiektu w świetle zachodzącego słońca.

Napięcie rośnie, a ciekawość jeszcze bardziej kieruje moje kroki na plac
przed meczetem. W głowie mam mętlik: jeśli ktoś mnie zapyta po arabsku
albo rzuci muzułmańskie pozdrowienie lub frazę bardziej skomplikowaną
niż „salam alejkum”... Cholera, zapomniałem zapytać, czy mają jakieś po-
zdrowienia używane w świątyni, typu nasze „szczęść Boże!” czy „niech bę-
dzie pochwalony” i co się odpowiada... Zdecydowałem się za szybko, zbyt

spontanicznie, bez solidnego przygotowania, jak opisany Szkot, na wariata. Iść czy nie iść? Ale emocje! Serce wali jak oszalałe. Muszę szybko przygotować plan na wszelki wypadek, gdyby były problemy. OK, już wiem, będę udawał niemego pielgrzyma z dalekiej oazy... Dość głupawe, ale to był jedyny pomysł, jaki mi przyszedł do głowy. Może się uda? A czas ucieka... Głęboki oddech i wchodzę do środka meczetu. Nie mam bynajmniej żadnych złych intencji, a jedynie pragnienie spojrzenia okiem wędrowca na to miejsce. Zaduma w domu modlitwy, który nazywa się inaczej w różnych kulturach: meczet, kościół, synagoga czy chram, wszystkie służą spotkaniu z Bogiem.

Miejsce, gdzie codzienna rzeczywistość spotyka się z wiecznością, gdzie duchowość i atmosfera miejsca skłania do refleksji nad życiem, otoczeniem, nad sobą. Tak rzadko współczesny człowiek ma na to czas, a czasem i ochotę. Zapominamy o tej osobistej duchowości w pogoni za dobrami materialnymi i poddajemy się bombardującej z wszelkich mediów wizji lepszego życia. Jak ten lepszy świat osiągnąć? To proste, potrzebujemy lepszego samochodu, większego domu (mieszkania), nowej kuchni, wygodniejszego łóżka, pełnej lodówki, zestawu do gotowania, eklektycznego grilla i tym podobnych. Wpadamy w ten komercyjny dół bez dna, a poziom naszej satysfakcji mierzymy ilością posiadanych dóbr konsumpcyjnych i po pewnym czasie popadamy w paranoję i zadajemy sobie pytanie: Co jeszcze trzeba kupić, żeby być bardziej szczęśliwym?

Nie ma czasu, żeby zapytać swej duszy, czy w ogóle to możliwe, żeby – żyjąc w taki sposób – być szczęśliwym. Pogoń za nowościami technicznymi i kolejnymi gadżetami zabiera nam ten czas. Nie zadajemy sobie pytania, czy ta droga jest w stanie dać nam szczęście, a czasem zbyt późno sobie uświadomiamy, że to ślepa uliczka. Ale dawka refleksji – czy to stres, czy magia chwili?

Miejsce, w którym się znalazłem, jest kompletnie pozbawione elementów bogactwa i przepychu. Brakuje tu nawet podstawowych elementów współczesności takich jak elektryczność, przeciwnie, mam wrażenie, że znalazłem się zupełnie w innym wymiarze czasowym.

Niezwykłe miejsce, aż trudno uwierzyć, co tu zastałem... Spodziewałem się zupełnie czegoś innego... Może orientalnego przepychu i bogactwa charakterystycznego dla gotyckich czy barokowych kościołów Europy czy Ameryki Łacińskiej z czasów kolonialnych, pełnych misternych lustrzanych dekoracji mozaikowych widzianych w meczetach Persji, niekończącego się labiryntu geometrycznych wzorów z grą barw światła wpadającego przez kolorowe witraże do wnętrza, spotykanych w innych meczetach... Tu jest zupełnie inaczej. Znajduję się w miejscu, które przypomina mi wnętrze staroegipskiej świątyni Amona w Karnaku czy inne poświęcone Izydzie w File oraz sceny z filmu „Faraon”, w którym młody władca odbywa tajemnicze spotkania z kapłanką, a jedno jest wspólne – kontynent, gdzie rozgrywała się historia, i może też zagadkowość wnętrza, reszta to kompletna abstrakcja... głęboki półmrok ledwie zaznaczany blaskiem świec i las kolumn tworzących istny labirynt wewnątrz budynku meczetu.

Zafascynowany w zadumie przemyślałem między kolumnami w formie sześcianów. Tworzyły one niekończący się szereg bram, zakoli, uliczek i narożników, za którymi czaił się kolejny mrok i niewiadoma. Gdzieś w oddali jak na obrazach flamandzkich mistrzów majaczyły ciemne rysy postaci widoczne tylko dzięki śladowym ilościom światła, które znajdowało się w tym wielkim gmachu poszatkiwanym kolumnami. Postacie modlących nie przypominały zwykłych ludzi, lecz bardziej dusze szukające w tych ciemnościach spokoju i wytchnienia od ludzkich trosk. Trudno było rozpoznać wiek, kolor ubrania, rozmiary, widziałem jedynie zastygłą w modlitwie bryłę, ruchomą rzeźbę, która dzięki refleksom światła wyłaniała się i chowała w ciemnościach za kolejną kolumną. To rzadko ustawione świece dawały dość nieregularnie oświetlenie, a właściwie iluzję widoczności...

Trudno mi teraz dokładnie określić, co widziałem w tym symbolicznym blasku, o czym myślałem w tamtej chwili. Stałem się częścią tej inscenizacji, elementem magicznej scenografii rodem z mitologii... cóż więcej mogłem pragnąć.

W jednej chwili przeszedłem na drugą stronę historii, do legendarnego Timbaktu, przez ten krótki moment stałem się częścią tej legendy. Stałem

się drobnym, ledwo zauważalnym elementem świątyni w rozproszonym blasku świec, ale byłem w środku tej opowieści, która właśnie się działa, żyła na moich oczach. Przysiadłem przy jednej z kolumn, żeby na moment oderwać się od roli obserwatora, a zadumać się nad światem, sensem istnienia, przemijaniem takich chwil, wsłuchać się w szelest przemykających wiernych, szmer ich odgłosów tak cichych jak lot motyla, przerywanych czasem odgłosami szeptanej modlitwy, niesionej po zakamarkach meczetu jak echo odbijające się o kolumny. Na chwilę straciłem kontakt z rzeczywistością, upajając się tą chwilą i miejscem, ale nie trwało to dłużej niż piętnaście minut. Odgłosy za murami meczetu wyrwały mnie z zamyślenia i przypomniały, że czas wracać do obecnego Timbaktu, do hotelu, gdzie czeka kolacja, i grupa, i łóżko, i plecak, i kilka lokalnych skarbów zakupionych na targu, które trzeba zapakować. Wyjazd na prom został zaplanowany bladym świtem i długa droga przed nami do kolejnej niezwykłej krainy na naszym szlaku – do królestwa Dogonów. To już kolejna opowieść.

Wymykam się równie cicho i niepostrzeżenie z meczetu na otwarty plac i już za rogiem widzę samochód i mojego kierowcę niecierpliwie rozglądającego się za mną. Na mój widok się uspokaja i wsiadamy do samochodu, żeby za niespełna dziesięć minut być już pod naszym timbuktańskim domem. Nie opowiadam o całym wydarzeniu grupie, ale chyba jestem trochę nieobecny duchem przy kolacji, a fizycznie przy hotelowym stole, ponieważ wciąż myślami błędzę jeszcze między kolumnami meczetu. Tak, mogę powiedzieć: byłem w prawdziwie magicznym miejscu, ani ociekającym złotem i kosztownościami, ani pięknym, ale tak innym, tak wyjątkowym, że poczułem magię Timbaktu i zabieram ją ze sobą w dalszą podróż, w wiele kolejnych podróży, które jeszcze być może przede mną. Jest kilka niezwykłych miejsc jak to, skąd zabieram takie niematerialne wspomnienia. Co stanowi o jego niezwykłości? Niech to pozostanie tajemnicą, jak tajemnicze pozostaje dla większości to miasto w sercu pustyni, w sercu Afryki, niedaleko od cywilizacji, ale daleko od świata, który znamy na co dzień.

Chyba już nie chcę znaleźć prostej odpowiedzi, dlaczego Timbaktu jest tak niezwykle i tajemnicze, jak myślałem. Po prostu zabieram odrobinę

tej tajemnicy ze sobą jako największą nagrodę za odrobinę szaleństwa bycia tu.

Czas spać, a jutro przeprawa przez Niger do zupełnie innej rzeczywistości. Co przyniesie ten dzień, czym nas zaskoczy? Nie wiem, ale na pewno zostawi kolejny ślad w pamięci tak wyraźny jak dziś, żeby przelać go na papier jako kolejną historię.

Poranna pobudka, plecak spakowany, czas się zbierać! Mój timbuktański kolega Muhammed, nieświadomy wczorajszej wyprawy, wyrwany ze snu żegna się z nami podczas porannej kawy. Jeszcze próba pogłaskania pary gazeli buszującej na dziedzińcu i ożywionej ruchem o tak wczesnej porze. Zostawiam w recepcji kartkę do wysłania z tutejszej poczty i wsiadając do jeepa, zerkam ostatni raz na wciąż jeszcze śpiące miasto... Czy jeszcze tu kiedyś wrócę? A jeśli tak, to kiedy? Czas i los pokażą. Do zobaczenia, a może żegnaj, Timbuktu!

Małą część Ciebie zabieram ze sobą i tego nic już nie zmieni. Ruszamy w kierunku promu. Czekając na przystani, jako jedni z nielicznych białych podglądamy poranne rytuały: pierwsza modlitwa, poranna toaleta, przygotowanie do śniadania, rozpalenie paleniska, przygotowanie wrzątku na kawę, wrzask biegających o tak wczesnej porze dzieci niecierpliwych i ciekawych, co przyniesie dzień, odgłosy domowych zwierząt niepewnych swego losu... a nad Nigrem powoli wstaje słońce. Jak na zawołanie wszystko nabiera tempa i rozmachu, może poza promem, który nie reaguje na pojawiające się gorące promienie. Prom, obojętny na budzący się dzień, nieśpiesznie zbliża się do brzegu, żeby zabrać nas do innego świata.



Stare powiedzenie islamskie mogłoby być podsumowaniem tej krótkiej historii: „Sól pochodzi z północy, złoto z południa, a słowo Boga i skarby mądrości z Timbuktu”. Mogło, ale stało się zgoła inaczej.

Życie i ludzie nie zawsze piszą piękne scenariusze. To przysłowie jak ironia losu stało się początkiem wielkiej lokalnej zawieruchy, a Timbuktu jednym z miejsc ogarniętych walkami. Słowo Boże opacznie rozumiane do-

prowadziło do dewastacji skarbów architektury i kultury materialnej, które zgromadzono w mieście. Ortodoksyjni wyznawcy ze słowami Allaha na ustach z kilofami i łopatami ruszyli burzyć mauzolea mędrców i duchownych, uznawszy je za miejsca bałwochwalstwa. W imię wiary pod uderzeniami kilofów zniknęło z powierzchni ziemi bezpowrotnie 16 najcenniejszych mauzoleów świętych sufickich.

Timbuktu, miasto 333 świętych, pełne medres (teologiczne szkoły koraniczne często przy meczetach), z uniwersytetem w Sankore, gdzie studiowało w najlepszym okresie około 35 tys. studentów, stało się miejscem barbarzyństwa i upadku ludzkiej mądrości.

Nie byłem świadomy, jak cienka linia dzieli nas wyjeżdżających bladym świtem z miasta od tych, którzy następnego dnia już z niego nie wyjechali. To linia między życiem a śmiercią, nie umowna, nie symboliczna, lecz do bólu realna, namacalna, prawdziwa. Teraz myślę, jak wiele mieliśmy szczęścia, którego następnym już zabrakło. Może to po prostu przypadek, że właśnie nam się jeszcze udało...

Wiele pytań pozostanie bez odpowiedzi. Może razem ze mną wieczorową porą modlili się przyszli zamachowcy... Może to ja mógłbym być ich pierwszą ofiarą... Nie zdawałem sobie sprawy, jak blisko czai się niebezpieczeństwo, jak nieświadomie mogłem otrzeć się o śmierć. Czy wizyta w meczecie była nierozsądna, a może meganiebezpieczna? Czy natura włóczyki-ja i wędrowca była silniejsza od zdrowego rozsądku i jaki mógł być mniej optymistyczny scenariusz?

W drodze do krainy Dogonów trafiliśmy na szwedzkiego motocyklistę, który wybrał się w podróż przez Afrykę. Zatrzymał nas, bo właśnie jechał do Timbuktu, ale motocykl odmówił dalszej jazdy i podróżnik potrzebował pomocy. Jechał ze Szwecji (nie pamiętam, z jakiego dokładnie miasta) i przez Gibraltar wjechał do Ceuty, a tam przez Maroko, Saharę Zachodnią, Senegal, Mauretanię dotarł do Mali i zmierzał do legendarnego miasta też żądny poznania tego, co kryje się pod tajemniczą nazwą Timbuktu.

Jak tylko się dowiedział, że właśnie stamtąd wracamy, zaczął gorączkowo wypytywać o nasze wrażenia i szczegóły: Co? Jak? Gdzie? Fascynujący

był to widok: głodny nowości, głodny przygody podróżnik. Jakbym siebie widział sprzed kilku dni, kiedy na myśl o dotarciu tam nie mogłem zasnąć.

Awaria pojazdu okazała się poważniejsza, a nasz kierowca ze swoim sprzętem nie był w stanie na miejscu go naprawić. Zaproponowaliśmy, że zabierzemy go do miejsca naszego noclegu kilkadziesiąt kilometrów dalej, gdzie znajduje się warsztat, i będzie mógł naprawić swego rumaka, a następnego dnia o świcie ruszyć dalej do Timbuktu. Zatrzymał się w naszym skromnym pensjonacie i zaraz po przyjeździe wyruszył z naszym kierowcą do lokalnej złotej rączki od motoryzacji.

Gdy wrócili, już zmierzchało, więc nasz lokalny przewodnik zasugerował nocleg. Sven (tak go nazwałem, bo nie pamiętam oryginalnego imienia) początkowo nie chciał zostać i wołał być tego dnia w sercu przygody, ale ostatecznie zdrowy rozsądek zwyciężył, bo drogi tu kiepskie, nieoświetlone, dziurawe jak szwajcarski ser, a na trasie żadnej możliwości postoju lub noclegu, prom już też nie pływa, więc musiałyby czekać do rana nad rzeką.

Nasza miejscowość to senna afrykańska wioska, gdzie niewiele się dzieje zarówno w dzień, jak i po zmierzchu. Z dostępnych atrakcji: można napić się piwa lub obejrzeć telewizję, czyli mecz lub kino akcji w lokalnym barze. Atrakcje te skupiają wieczorami głównie męską widownię. Ewentualnie pozostaje udanie się do domu, gdzie w większości domostw nie ma elektryczności, więc w ciemnościach można zająć się powiększaniem rodziny.

Nerwowość była podwójnie uzasadniona, ponieważ w Timbuktu czekał na Svena kolega, którego spotkał na trasie i razem przemierzali bezdroża Afryki na motorach. Umówili się, że spotkają się już w mieście, a kolega załatwi nocleg i będzie czekał na miejscu z zimnym piwem. Aby pocieszyć Svena, zaprosiliśmy go na piwo do naszej skromnej noclegowni, gdzie też był mały bar. Opowiedział nam o samym pomysle podróży. Chciałby dotrzeć do Kapsztadu, a jeśli uda się ten wyczyn w dobrym czasie i bez większych zawirowań finansowych, to spróbuje objechać całą Afrykę z RPA do Egiptu przez wschodnią część kontynentu, a dalej przez Bliski Wschód lub z Aleksandrii promem do Europy i dalej do Szwecji. Póki co priorytetem było dotarcie do Przylądka Dobrej Nadziei, a potem... się zobaczy.

Bombowy pomysł! Gratulowaliśmy odwagi, bo wyruszył z kraju sam i wszystko osobiście zorganizował. Kolegę rodaka spotkał na trasie i niektóre odcinki pokonywali wspólnie, bo zawsze raźniej we dwójkę, choć Skandynawowie do zbyt wylewnych i towarzyskich z moich obserwacji nie należą.

Każdy z nich miał trochę inny plan podróży na resztę trasy, to jednak do Timbaktu postanowili pojechać razem. Nie do końca Timbaktu było na trasie, ale będąc tak blisko, grzechem byłoby nie wstąpić choćby na chwilę, żeby osobiście się przekonać, co w tym mieście kryje się niezwykłego, że tak działa na wyobraźnię wędrowca.

– Wszystko byłoby OK, gdyby nie awaria. I pewnie piłbym teraz piwo z kumplem w Timbuktu. Ale inaczej byśmy się nie poznali... – tak zakończył swą opowieść o dotychczasowej podróży i dalszych planach nasz nowy znajomy Sven. Bardzo ciekawy, serdeczny człowiek, szybko się polubiliśmy, choć spotkanie to było mocno przypadkowe. Zawsze podziwiam ludzi z pasją i ciekawymi pomysłami, a on taki był. A poza tym, jak ktoś ma podróże i przygodę we krwi, to takie sprawy rozumie bez słów.

Tak też było w przypadku Svena – nie trzeba wielu słów, aby wiedzieć, że swój chłop i tyle. On też słuchał o naszych przeżyciach podczas rejsu Nigrem i o pobycie wśród Tuaregów. Niesamowite, że wspomniał o Marrakeszu i drogowskaziu na Timbuktu, dodał, że gdy go zobaczył, to zapragnął tam być. I jest już bardzo blisko... Ech! Gdyby nie ta awaria. Była energia i moglibyśmy tak do rana rozmawiać o podróżach, doświadczeniach, wypiliśmy jednak jeszcze jedno piwo i się pożegnaliśmy. Mój nowy znajomy nazajutrz musiał wcześniej wstać, żeby jak najszybciej dotrzeć do Timbaktu, natomiast przed nami była męcząca podróż po bezdrożach Mali do krainy Dogonów. Zastanawiałem się, czy opowiedzieć Svenowi o mojej wyprawie do meczetu, ale nie chciałem denerwować tą opowieścią reszty ekipy, więc zostawiłem to na poranne pożegnanie. Sven podczas piwnego spotkania próbował dzwonić do kolegi, żeby zdać mu relację z aktualnej sytuacji i umówić się na jutrzejsze spotkanie, ale dziw-

nie telefonu nie odbierał, a na SMS-y nie było odpowiedzi. Uspokajaliśmy go, że może kolega nie ma zasięgu lub rozładował się telefon, lub padł zmęczony po podróży i na pewno jak nie dziś, to jutro z samego rana się odezwie. I rozeszliśmy się do naszych pokoi z obietnicą, że z samego rana pożyczymy sobie wspólnie spokojnej podróży, wymienimy się mailami, bo każdy z nas był ciekawy dalszej podróży: on wrażeń z krainy Dogonów, a ja relacji, jak dotarł do Kapsztadu. To było miłe zakończenie dnia. Zasnąłem w pięć sekund, nawet nie pamiętam kiedy. Nikt nie przypuszczał, czym zaskoczy nas jutrzejszy dzień.

Wczesnym rankiem nie było serdecznego pożegnania przy porannej kawie. Przy stoliku zastałem Svena i już chciałem mu powiedzieć, jak najlepiej dostać się do Meczetu Piątkowego i aby mi później opowiedział, czy udało mu się ta sztuczka, ale spotkałem nieobecnego człowieka, kogoś obcego, zamkniętego w sobie, wręcz przerażonego. Sprawdzał coś w laptopie i kończył rozmawiać przez telefon. Usłyszałem tylko ostatnie słowa, ale rozmawiał po szwedzku, więc nie rozumiałem, o czym, jednak po tonie głosu mogłem się domyśleć, że to jakaś tragiczna wiadomość.

Zauważył mnie i próbował zachować spokój, ale już wiedziałem, że jest źle. Nie próbowałem udawać, że wszystko jest OK, tylko prosto z mostu zapytałem:

– Sven, co się stało? Co jest grane? Czy mogę jakoś pomóc?

Rozłożył ręce i złapał się za głowę.

– To straszne... Jak to się mogło stać?... Nie wierzę! – Był kompletnie rozbity. – Rodzina dzwoniła, chce, żebym wracał do domu. Sam nie wiem – powiedział.

W jego głosie był wielki smutek, rozczarowanie i niedowierzenie.

– Coś złego w domu? – zapytałem. – Rodzice, bliscy...? – Nie potwierdził ani nie zaprzeczył.

Poczułem się dość niezręcznie, chciałem go wesprzeć, dodać otuchy, może pocieszyć. Wciąż nie wiedziałem, co się stało, nie chciałem też naciskać. I tak przez chwilę staliśmy w milczeniu. To było jak stop-klatka w filmie, nieznośne zawieszenie. Trwało może kilkanaście sekund, a może

minutę lub dwie. Mnie się wydawało, że to cała godzina. W końcu milczenie przerwał:

– Nie dojadę do Timbuktu, nie było mi dane, ale żyję... – Złapał oddech i kontynuował: – Nie wiem, co mam robić, czy jechać dalej... Rodzina chce, żebym wracał... – cedził słowa, jakby nie był ich pewien.

– Sven, co się stało?! – wydusiłem.

W tym czasie do pomieszczenia, gdzie serwowano śniadanie, wszedł nasz lokalny przewodnik.

– Bardzo mi przykro, panie Sven, kto by pomyślał, że to się stanie, jeszcze wczoraj rano tam byliśmy... Bardzo mi przykro.

Już wiedziałem, że to nie problemy rodzinne Svena, bo skąd by przewodnik o nich wiedział. Coś innego musiało się wydarzyć... Nie wytrzymałem:

– Co się stało, do cholery, powiedzcie wreszcie! – rozładowałem narastające w sobie napięcie.

– Wczoraj był zamach w Timbuktu, zginęli ludzie. Nie wiadomo dokładnie, ilu turystów. Miasto jest zamknięte, wojsko ewakuuje innych turystów do stolicy samolotem. Jest źle, ale my jesteśmy bezpieczni. W tym rejonie nic nam nie grozi, u Dogonów też – zaczął przewodnik.

– Mój kolega... terroryści zaatakowali hotel, w którym miałem nocować. Zginęło kilkanaście osób, turystów. Mój kolega, z którym miałem się spotkać, też tam był... nie żyje! – wydusił Sven.

O fuck! Nie... nie wierzę... Ciarki przeszły mi po plecach. Ten hotelik znajdował się na tej samej ulicy, na której mieszkaliśmy, może jakieś dwieście metrów dalej. Byliśmy tam jedynymi turystami. To mogło się zdarzyć dzień wcześniej!

Zacząła się burzliwa dyskusja, która zdominowała poranek. Nie mieliśmy ochoty na śniadanie. Na koniec Sven powiedział:

– Może tak miało być? Może awaria motocykla uratowała mi życie...?

Po czterdziestu minutach musieliśmy się pożegnać. Życzenia bezpiecznej podróży i „uważaj na siebie” były dziwaczne i nie na miejscu. Wymieniliśmy adresy mailowe i zapewniłem, że jeśli tylko mogę pomóc, to zawsze i o każdej porze. I aby napisał, co zdecydował: czy jedzie dalej na południe Afryki, czy wraca do domu... Obiecał, że się odezwie. Przybiliśmy piątkę

bez słów i ruszyliśmy pakować się do wyjazdu. Czas jechać dalej, ale nastroje były wisielcze.

– Cokolwiek zdecydujesz, będzie dobrze. Musi być! I napisz, proszę, Sven, OK? – powiedziałem na odchodne, bo tylko tyle przyszło mi do głowy...

Sven skinął jedynie głową na pożegnanie i cicho dodał:

– Dzięki za pomoc, za wszystko.

To był ostatni raz, kiedy się widzieliśmy. Byłem ciekaw, jak dalej potoczyła się wyprawa Svena i jakie podjął decyzje, ale nie napisał.

Jak się później okazało, byliśmy ostatnią grupą turystów w Timbuktu, bo tego samego dnia, w którym wyjechaliśmy z miasta, miało miejsce tragiczne wydarzenie. Kilku turystów zostało porwanych, a kilku zabitych. Skutkiem tego reszta cudzoziemców została, ze względów bezpieczeństwa skoszarowana i specjalnym samolotem przewieziona do stolicy Bamako. Timbuktu zostało zamknięte dla turystów, a później północne tereny Mali stały się miejscem walk zbrojnych. Lokalni partyzanci próbowali proklamować niepodległe państwo Tuaregów, a w wewnętrzny konflikt włączyła się armia francuska. Mali zniknęło na następnych kilka lat, a może dłużej, z turystycznej mapy świata jako niebezpieczne dla odwiedzających, a rejon Timbuktu został odizolowany.

Niezwykłe, gdy dowiedziałem się, że w tym czasie i w tej sytuacji, która nas zastała, powstał mauretański film pt. „Timbuktu”. Obraz opowiadał historię miasta po naszym wyjeździe, kiedy miasto okupowała terrorystyczna organizacja Asnar ad-Din. Dramat ludzi, który pokazuje film, to nie fikcja literacka. My cudem wyjechaliśmy przed zajęciem miasta. Ekranizacja była dużym sukcesem dość niszowego kina afrykańskiego i film był prezentowany w Cannes w konkursie głównym w 2014. Był też nominowany do Oscara w kategorii film nieangielskojęzyczny (miał duże szanse na statuetkę, ale ostatecznie przegrał z polską produkcją „Ida” Pawlikowskiego).